Nr. 515. (Wydanie popołudniowe). We Lwowie środa dnia 5 listopada 1902 r. Rok XXXV.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie:
miesięcznie 2 korony; — za dwurazową dostawę do domu dopłaca się 60 halerzy;
na prowincji:

z jednorazową przesyłką:		z dwurazową przesyłką:	
rocznie	36 K — h	rocznie	36 K — h
kwartalnie	7 „ 50 „	kwartalnie	9 „ — „
miesięcznie	2 „ 50 „	miesięcznie	3 „ — „

W Niemczech miesięcznie 3 M. 50 fen.
W innych krajach miesięcznie 4 Fr.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Adres „Dziennik Polski“ — Lwów, plac Marjacki l. 7. Telefon Nr. 151.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie.

Ogłoszenia
Za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 20 halerzy
Za jeden wiersz petitowy w rubryce *Nadesłane* 40 halerzy
Drobne ogłoszenia po 2 halerze za słowo. Najmniejsze ogłoszenie 30 halerzy.
Ogłoszenia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po *Kronice* za jeden wiersz petitowy 60 halerzy.

Numer pojedynczy:

we Lwowie:		na prowincji:	
poranny	8 halerzy	poranny	5 halerzy
wieczorny	8 halerzy	wieczorny	10 halerzy

Sienkiewicz o Prusakach.

Lwów 4 listopada.

W dwóch najbardziej wpływowych i najpoważniejszych czasopismach: angielskiem i amerykańskiem, w londyńskiem *Contemporary Review* i nowojorskiem *Mc. Clure's Magazine* ma się ukazać praca znakomitego męża stanu i publicysty angielskiego o działalności hakatyzmu, oraz o środkach, których broni się przed nim społeczeństwo polskie. Jak korespondent londyński *Przedświtu* donosi, w obu tygodnikach powyższych pojawiła się już pierwsza część tej pracy, poprzedzona przedmową Sienkiewicza, napisaną na prośbę autora. Przedmowa ta brzmi:

Gdyby artykuł, poniżej zamieszczony, wyszedł z pod pióra polskiego pisarza, niewątpliwie szowinistyczna prasa w Prusiech nie omieszkałaby rozgłosić, że tak przedstawić stosunki mógł tylko Polak i że czytelnik nie znajdzie w nim nic, prócz stronniczości i przesady. Ale oto pióro polskie nie brało w samej pracy żadnego udziału, jeżeli zaś ja dodaję do niej kilka słów wstępu, to jedynie dlatego, by zaznaczyć, że tak właśnie przedstawił sprawę nie Polak, ale cudzoziemiec, a nadto pisarz znany z rozwagi, umiarkowania i sumienności, który był długi czas na miejscu i badał stosunki polsko-pruskie osobiście. Jednocześnie zaś chcę zaświadczyć i stwierdzić, że to wszystko, co chrześcijaninowi i człowiekowi ucywilizowanemu wyda się może w tych stosunkach niedopuszczalną w XX. wieku potwornością, jest, niestety, ścisłą, objektywną prawdą i zarazem polityką, praktykowaną codziennie w dzielnicach polskich, przynależących do monarchji pruskiej.

Rząd pruski, dla osłonięcia hańby i usprawiedliwienia prześladowań, jakich dopuszcza się w dzielnicach polskich, powołuje się na tak zwane „niebezpieczeństwo polskie“, jakie grozi niby całej rzeszy niemieckiej od Polaków. Czy takie niebezpieczeństwo rzeczywiście istnieje? Czy kilka miljonów ludności polskiej, żyjącej pod berłem pruskiem, może być powodem obawy i strachu dla sześćdziesięciomiljonowych Niemiec, zorganizowanych tak potężnie, zarówno militarnie, jak społecznie? Odpowiedź może być tylko następująca: albo powoływanie się na „niebezpieczeństwo polskie“ jest bezgraniczną małodusznością, albo hipokryzją ze strony rządu pruskiego. Na jedno z tych dwóch przypuszczeń trzeba się zgodzić, albowiem jakiekolwiek tego rodzaju niebezpieczeństwo mogłoby istnieć tylko w takim razie, gdyby Polacy zamieszkali na zewnątrz Prus, zamiast należeć do Rosji i Austrji, tworzyli silne, samodzielne państwo, mogące zaważyć na szalach polityki europejskiej.

A zatem niebezpieczeństwo polskie nie istnieje? Owszem. Ale jest ono zupełnie innego rodzaju, niż je przedstawiają płytcy mężowie stanu pruscy. Pisząc niegdyś o tych stosunkach, powołałem się na niemieckiego myśliciela Holzendorfa, który, mówiąc o Prusach, powiada, że złudzeniem jest, aby niemoralna polityka mogła nie zdeprawować w ciągu lat całej ludności danego państwa. I oto jest niebezpieczeństwo! Polityka państwa pruskiego od początku jego istnienia była niemoralną do tego stopnia, że nawet w XVIII wieku, to jest w epoce największego upadku publicznego sumienia, Prusy trzymały prym między państwami erupejskiemi. Przykład szedł ciągle z góry. Mniejsza o to, że Fryderyk II.—którego pomnik ofiarowano świeżo szlachetnemu ludowi amerykańskiemu — nie mógłby być, jako człowiek prywatny, niepowieszonym w Anglji i Ameryce za potworne wszelkiego rodzaju występki — ale był on zarazem, mimo całego podziwu, jaki ma dla niego Carlyle, najbezwstydniejszym szalbierzem politycznym nowszych czasów. Wkrótce potem Napoleon piętnował głośno *fidem publicam* pruską, twierdząc, że wobec wiarołomstwa rządu pruskiego, wszelkie traktaty z nim zawierane nie mają najmniejszej realnej wartości. W stosunku do Polaków, od czasów tegoż Fryderyka, polityka pruska była do tego stopnia wiarołomną, brutalną i pozbawioną wstydu, że wprost niema dla niej porównania — w ostatnich zaś czasach stawała się tem haniebniejszą, im bardziej państwo, rosnąc w potęgę, było pewniejsze zupełnej bezkarności.

Fryderyk Wilhelm III zagwarantował publicznie Polakom słowem królewskiem, danem w imieniu własnem i następców, poszanowanie dla ich religji, narodowości i języka. Zdawałoby się, że wobec takiego słowa, które angażuje honor dynastji i państwa, nie może być mowy o jego niedotrzymaniu; zdawałoby się, że, jeżeli prywatny człowiek poczytywałby sobie za wstyd i hańbę złamanie publicznej obietnicy, tembardziej cofnąć się powinni przed taką hańbą ci, których Opatrzność uczyniła piastunami honoru nietylko osobistego lub rodzinnego, ale narodowego. Otóż, jak dotrzymuje się tego królewskiego słowa i tych publicznych zobowiązań, niech na to odpowie poniższy artykuł angielskiego pisarza. Poznawszy go, angielski lub amerykański czytelnik wyrobi sobie najdokładniejsze pojęcie o moralności polityki pruskiej i o losie Polaków, zmuszonych żyć pod pruskiem bertem.

Ale nie potrzeba powoływać się na Holzendorfa, by zrozumieć, że tego rodzaju polityka musiała się odbić najfatalniej na duszy społecznej pruskiej. Rząd przyzwyczaił swych poddanych do myśli, że siła panuje nad prawem, że zobowiązań można nie dotrzymywać, słowo królewskie a z nim honor narodowy podeptać, że gjąć należy się tylko przed silniejszym, względem słabszych zaś, do których należą Polacy, można się niczem nie krępować. I oczywiście, w takiej szkole zbiorowa dusza pruska zatraciła do wysokiego stopnia zmysł moralny, zmysł prawdy i sprawiedliwości i w znacznej części tem właśnie można objaśnić te potworne sprawy, o których autor poniżej pisze. Silne organizmy opierają się zwycięsko rozmaitym chorobom, być więc może, że i to zdeprawowane obecnie społeczeństwo potrafi odzyskać w przyszłości zdrowie — ale tymczasem ta zgnilizna moralna stanowi istotne niebezpieczeństwo — które polskiem można nazwać dlatego, że jeśli nie z winy, to z powodu Polaków zagraża ono duszy niemieckiej.

Była chwila na początku panowania obecnego cesarza, w której zdawało się, iż zrozumiano, że trzeba otworzyć w pruskim gmachu okno i wpuścić do budynku nieco zdrowszego powietrza. Zrozumienie tej potrzeby, zrozumienie umoralnienia siły, zdawało się być nawet nietylko wielkim dziejowym celem, ale misją nowego panowania. Wówczas polepszyły się i stosunki polsko-pruskie. Ale chwila ta trwała krótko. Cesarz spostrzegł się, że zadaniu nie podoła, a wraz z powrotem do bismarkowskich idei, stosunki z Polakami zaogniły się na nowo, do czego przyczyniła się i agitacja z Warcina. Znakomity Rudyard Kipling powiada w swej „Księdze Puszczy“, że jadowite węże przeżywają na starość swój jad. Z Bismarckiem było przeciwnie. Przeżył on swą potęgę, swą władzę, swą sławę, ale nie przeżył jadu, którym pod koniec życia obryzgał swych następców, dynastję, samego cesarza, a przedewszystkiem społeczeństwo polskie. Lecz, gdy nienawiść jego do własnego monarchy zmuszona była poniekąd karmić się własnem ciałem, jedynem polem, na którem mogła jeszcze siać i zbierać, był stosunek państwa i społeczeństwa niemieckiego do Polaków.

Nie przestał też szczwać do końca życia, a gdy wreszcie wielka żmija pękła, zrodziły się z niej całe setki małych żmijątek i w ten sposób powstało „Towarzystwo Hakaty“, które rozjątrzyło do stopnia jeszcze wyższego stare rany. Powiada się ono towarzystwem patrjotycznem, pracuje niby dla Prus i Niemiec, tymczasem rezultaty dotychczasowe są następujące: 1-o rozterka wewnętrzna w państwie, 2-o jedna więcej karta w dziejach Prus, uznana przez cały świat ucywilizowany za haniebną, 3-o, cień, rzucony na panowanie Wilhelma II, któremu historja bądź co bądź już nie zapomni, że pod jego berłem katowano dzieci — i nie omieszka przeprowadzić paralleli między tą potwornością a rzeziami, tolerowanemi przez Abdul Hamida w Armenji. Oto, co dotychczas zawdzięcza „Towarzystwu Hakaty“ państwo i cesarz i żaden Niemiec nie może zaprzeczyć, że tak jest.

Autor poniższej pracy wymienia i inne wszelkiego rodzaju krzywdy i uciski, którym podlegają Polacy pod berłem pruskiem. Niewątpliwie też Anglik lub Amerykanin, czytając o nich ze zdumieniem, zada sobie pytanie, gdzie podział się wstyd na świecie i czy tego rodzaju stosunki mogą istnieć w XX wieku, wśród starej cywilizacji europejskiej? Co do mnie, dodam tylko, że owe krzywdy i prześladowania spadają na ludność pracowitą, trzeźwą, bardzo moralną, bardzo gospodarną, która nie czyniła nigdy powstania przeciw państwu, a która wedle świadectwa samychże generałów pruskich, dostarcza najbitniejszego armji pruskiej żołnierza.

Jak długo potrwa podobna polityka, trudno przewidzieć, ale z ludzkiego i historycznego punktu widzenia, zbyt długiego żywota przepowiadać jej nie można, jestto bowiem polityka nie rozumu, ale szowinizmu i namiętności zarówno brutalnych, jak głupich. O tej jej stronie pisałem już gdzieindziej, obecnie mogę się więc ograniczyć na jednej jeszcze tylko uwadze. Gdyby nawet owa polityka była racjonalną, jest pewien sąd wyższy ponad wszelkie doraźne racje stanu — sąd chrześcijańskich sumień ludzkich — a gdy chodzi o krzywdy, czynione najdroższym uczuciom, takim, jak przywiązanie do wiary, narodowości i języka — gdy chodzi o krew i łzy dzieci i matek, wyrok tego sądu nie może być wątpliwy.

Co do nas — przetrwamy.

Henryk Sienkiewicz.

Prasa ruska o zajściach na cmentarzu.

„Drzej worek i krzycz“, — oto zasada, jakiej trzymają się przewódcy naszych Ukraińców i radykałów ruskich. Brutalna demonstracja młodzieży ruskiej, jaką ona urządziła w sobotę na cmentarzu Łyczakowskim, zgotowała sromotny zawód ruskim politykom: młodzież polska zachowała się wobec prowokacji z godnością i spokojem i nie przysporzyła Rusinom ani „męczenników“, ani tematu do nowych utyskiwań na ucisk. Dzięki takiemu zachowaniu się Polaków, wyszło na jaw, że Rusini, którzy w dniu tym nie obchodzili ani święta, ani „Zaduszek“, wpadli na cmentarz z rozmysłem, ażeby zamącić i wyzyskać obchód rzymsko-katolicki dla wywołania zamieszek.

To zdemaskowanie jednego ze sposobów partji ukraińskiej, skonfundowało w wysokim stopniu redakcje ich organów, które, bądź co bądź, z dziennikarskiego obowiązku nie mogły sprawy zamilczeć. Chcąc, jak to mówią, wykręcić się sianem, usiłują bądź to sprowadzić całe zajście do znaczenia bardzo błahego, ulicznego epizodu, bądź też zwalić bezczelnie całą winę i prowokację na — młodzież polską.

Rusłan uważa za rzecz zupełnie naturalną, gdy Rusini czczą swych zasłużonych w narodzie w dniu polskich „Zaduszek“ i opowiada bardzo naiwnie, iż młodzież ruska poszła sobie na groby ruskich patrjotów i śpiewała. Polacy śpiewali „Boże coś Polskę“ przy swych mogiłach, a skromni Rusini, przypadkiem tuż obok nich, wznosili swoją modlitwę: „Ne pora“... Idealny ten obraz zamącili, oczywiście Polacy, którzy wołali ku Rusinom: „Niech żyje Polska!“. Na to, nic dziwnego, jeżeli ze strony ruskiej wybuchnął śmiech i okrzyk: „Na pohybel!“... Następnie Rusini wychodzili sobie czwórkami z cmentarza (z polskich „Zaduszek“) ale ich w bramie rozbili Polacy, którzy falą popłynęli do miasta. Oczywiście po ulicach demonstrowali Polacy. Rusini, według *Diła*, szli sobie spokojnie aż do placu Bernardyńskiego i stamtąd rozeszli się najspokojniej do domów. Natomiast *Rusłan* wygadał się, że piesza i konna policja spotkała ich jeszcze przed redakcją *Słowa Polskiego* — „gdzie chcieli zademonstrować“. Pomimo, że *Diło* odesłało ich już do domów, *Rusłan* jeszcze papla, że ich otoczono w pasażu Mikolasza, gdzie wołali: „pereat Głąbiński!“, że przedarli się jeszcze do pasażu Hausmana i tutaj urządzili taką samą demonstrację“. „Stamtąd — kończy *Rusłan* — nie mogli już pójść nigdzie, jak tylko wrócić do pasażu i następnie rozejść się gromadkami“...

„Nie byłoby nawet przyczyny do dokładniejszego opisywania tych studenckich demonstracyj — kończy poczciwy *Rusłan* — gdyby nie napaści polskiej prasy, oczywiście przedewszystkiem *Dziennika Polskiego...*“

Tak samo, mniej więcej, przedstawia rzecz *Diło*, jeno że, co do pochodu ruskich studentów, kłamie jeszcze bezczelniej. Wedle tego organu, prowokowała Rusinów, którzy z demonstracją wtargnęli na obchód rzymsko-katolicki, młodzież polska, obrzuciła ich kamieniami, wyzwiskami i biedakom, najspokojniejszym, straszliwe czyniła „oskorblenje.“

Cokolwiek odmienne stanowisko zajmuje *Hałyczanyn*, najmniej interesowany, albowiem młodzież jego obozu nie brała w awanturze udziału, a nadto jego instytucji, Narodnemu domowi, dostała się jeszcze „kocia muzyka“ od rozhulanych Ukraińców. Potępia on przedewszystkiem polską młodzież za to, że wprowadziła „pogański“ obyczaj śpiewania pieśni narodowych na grobach swych bohaterów. Drwi następnie z Ukraińców, że małpują Polaków i czynią to samo nie w dzień własnych „Zaduszek“, ale na uroczystość polską. Kończy zaś sentencją, że jeżeli młodzież polska popełnia głupstwa, to nie powinna jej naśladować młodzież ruska, „chociażby nawet tytułowała się — ukraińską.“ Szkodzi to całemu społeczeństwu ruskiemu.

Tak zapatrują się na niebywały gwałt swej młodzieży organa ruskich frakcyj. Możemy teraz spodziewać się, że niebawem posłowie Romańczuk, lub Kos, albo Breiter, wniosą w parlamencie gwałtowną interpelację na temat gwałtu, popełnionego na Rusinach, którzy przybyli dla prowokacji młodzieży ruskiej, zgromadzonej na cmentarnej uroczystości... łacinników i Polaków!

Hakatyzm w pow. bialskim.

W sprawie bezwzględnej germanizacji ludności polskiej w pow. bialskim, oraz zmiany nazwy gminy Halcnów na Alzen, zabrał głos wydział krajowy i uchwały, powzięte przez radę powiatową w Białej, zakomunikował bezzwłocznie prezydjum namiestnictwa, z żądaniem, aby w stosunki powiatu bialskiego, skąd nieustanne ze wszystkich stron dochodzą skargi, bliżej wejrzało i zawarowało zasadę równouprawnienia, poręczoną ustawami państwowemi. Równocześnie prosił wydział krajowy o szybkie załatwienie zalegającej w namiestnictwie sprawy bezprawnej zmiany nazwy gminy Halcnów na Alzen.

Uchwały rady powiatowej bialskiej zakomunikował wydział krajowy także radzie szkolnej krajowej z prośbą, ażeby do Halcnowa wysłała specjalnego delegata, któryby stosunki szkolne na miejscu zbadał i niewłaściwości uchylił. Zwrócił się wreszcie wydział krajowy do konsystorza książęco-biskupiego w Krakowie, komunikując mu szczegóły podniesione w radzie powiatowej w Białej i wyrażając przekonanie, że konsystorz potrafi zabezpieczyć nabożeństwo i naukę ludności polskiej w jej ojczystym języku.

Z Wielkopolski.

(*Echo sprawy wrzesińskiej. — Niemieckie banki parcelacyjne w Księstwie. — Bank ziemski w Poznaniu. — Fałszywa pogłoska*).

Jak wiadomo, prokuratorja gnieźnieńska nie mogła ścierpieć, że skutkiem strasznego wyroku trybunału gnieźnieńskiego w sprawie wrzesińskiej, cała Polska zadokumentowała dla ofiar sprawy tak gorące współczucie i że wszędzie na nie zbierano składki. Wytoczyła więc procesy przeciw zbierającym je, dowodząc, że oni wykroczyli przeciw rejencyjno-policyjnemu rozporządzeniu, według którego nie wolno urządzać kolekt publicznych bez pozwolenia naczelnego prezesa.

Znany trybunał gnieźnieński zasądził odnośnych oskarżonych, tymczasem berliński kamergerycht wyrok ten skasował i zasądzonych uwolnił, motywując swoją uchwałę w ten sposób:

„Zakaz publicznej kolekty jest dozwolony tylko wtedy, gdy chodzi o kolekty od domu do domu (Hauskollekten), czyli o takie kolekty, w których zbierający składki chodzi od domu do domu i celem zebrania jej wchodzi do mieszkania odnośnych osób“.

Kamergerycht obu podsądnych uwolnił, ponieważ oni od domu do domu nie chodzili, tylko składki im dobrowolnie przynoszono do domu.

W drugim przypadku skazał ten sam sąd na karę, na podstawie tego samego paragrafu, obywatela, który w pewnym lokalu rozdawał druki ulotne i przyjmował ofiary na skazańców wrzesińskich. I w tym przypadku kamergerycht zniósł wyrok sądu ziemiańskiego w Gnieźnie i kazał mu ponownie zbadać, czy podsądny istotnie w tym dniu chodził od karczmy do karczmy i tam nachodził ludzi o składki,

---

(2)

Artur Gruszecki.

Zwycięzcy.

POWIEŚĆ

Meyerhoff odetchnął głęboko i skłoniwszy się niezgrabnie, opuścił pokój pośpiesznym, nierównym krokiem.

Adjutant, który nie spuszczał oka z Meyerhoffa, widząc jego przerażenie i pośpiech przy wyjściu, mruknął z pogardliwym uśmiechem:

— Podły tchórz...

— Ale pożyteczny — rzekł generał i pocierając ręką kontuzjonowane kolano, dodał: — Tę bandę zbójecką wolnych strzelców trzeba zgnieść..

— Wybić co do nogi — rzekł kapitan głosem zawziętym.

— To się rozumie! — zamruczał generał, wpatrując się w mapę przez szkło powiększające.

Wtem zapukano do drzwi, w których stanął oficer, pełniący służbę i zameldował:

— Kurjer generalnego sztabu z kwatery głównej.

— Niech wejdzie.

Do pokoju wszedł, głośno stukając butami, z brzękiem ostróg i szabli, wachmistrz żandarmów polowych. Wysoki, pleczysty chłop, z twarzą szeroką, opaloną, otoczoną jasnym pomierzwionym zarostem, ubrany w zielony mundur, spodnie wpuszczone w buty wysokie, przepasany białym rzemieniem, w którym tkwił rewolwer i nie zdejmując zapylonej pikelhauby, meldował, salutując po wojskowemu:

— Kurjer z kwatery głównej wczoraj o piątej po południu wysłany z rozkazem — i podał generałowi torbę.

Ten otwierając zamek torby, spytał:

— Droga była wolna?

— Tak, wasza ekscelencjo.

Generał wyjął szarą kopertę, uważnie obejrzał pieczęć, rozciął brzeg ostrożnie i wyjąwszy papier, zaczął czytać.

Żandarm i adjutant stali wyprostowani, wpatrując się w komendanta, który w miarę czytania, rozjaśniał swą chmurną, nabrzękłą twarz, a skończywszy, uderzył lekko ręką w papier, mówiąc z uśmiechem:

— To dobrze.

Następnie dał kurjerowi znak ręką, że może odejść, rozkazując:

— Za cztery godziny otrzymasz odpowiedź i pojedziesz... koń zdrożony?

— Wytrzyma powrotną drogę, wasza ekscelencjo.

— Dobrze — skinął głową na znak skończonej rozmowy, a po jego wyjściu zwrócił się do adjutanta:

— Panów oficerów sztabowych do mnie — rzekł ostrym, syczącym głosem — czekam — i spojrzał na zegarek, który wskazywał wpół do szóstej popołudniu.

— Wedle rozkazu — odpowiedział adjutant wychodząc.

Generał trąc wygoloną głowę lewą ręką, nasłuchiwał, patrząc w okno, przez które wpadało do pokoju blade światło pogodnego dnia październikowego.

Po chwili rozległ się tentent koni, a przez okno mignęły sylwetki dragonów, pędzących na koniach w różnych kierunkach.

Generał znowu potarł kontuzjonowane kolano, dłonią odsunął z ust nastrzępione, twarde, siwawe wąsy i zwolna wstał z fotelu.

Średniego wzrostu, pochylony lekko, skłonny do otyłości, powłóczył trochę lewą nogą i założywszy w tył grube ręce, przechadzał się wolnym krokiem po pustym pokoju.

Przystąpił do okna, otworzył je i przez krótką chwilę nasłuchiwał gwaru i szumu obozu. Odwrócił się, a przechodząc obok stołu, dojrzał kopertę, przyniesioną przez kurjera.

Uśmiechnął się zadowolony. Tam, w kwaterze głównej, usłuchano jego rady i wydano wreszcie rozkaz, skazujący tych występnych *francs-tireurs'ów* na zagładę.

— Ale też zwlekali — uśmiechnął się z ironją — zasłaniali się prawem narodów, konwencją genewską, a niebezpieczeństwo ze strony wolnych strzelców rosło z każdym dniem. Gdyby ci głupi, podli Francuzi — rozmyślał generał — schwycili wszyscy za broń, armja niemiecka znalazłaby się w bardzo trudnem położeniu. Dowozy żywności, amunicji, porozumienie się poszczególnych korpusów byłoby utrudnione, niemal niemożliwe... O jakimś pochodzie naprzód, o zawładnięciu krajem nie można marzyć... A ci *francs-tireursy* to zawiązek tego ruchu narodowego, to widomy i rozgłośny punkt zborny do zbrojnego oporu przeciw nam, zdobywcom Strasburga, Sedanu, Metzu... Zniszczyć ich, zdusić, a ludność przerazić bezwzględną surowością, to jedyny sposób, aby zgasić ten ogień oporu i nie dozwolić na pożar, któryby mógł objąć cały naród...

Na twarzy generała malowała się zawziętość i energja. Grube zmarszczki policzkowe przeciągnęły się aż ku wystającej brodzie, brwi ściągnęły się, w oczach przekrwionych błyszczała nienawiść i duma, że to on zabezpieczył pomyślny stan armji i obronił księstwo badeńskie od wtargnięcia wolnych strzelców w jego granice.

— Ach, gdyby oni wpadli tam, jak okrutnie mściliby się na bezbronnej, niemieckiej ludności!...

Odpłaciliby z nawiązką wszystko, co tutaj ucierpieli od pruskich żołnierzy... Przypomniały mu się sceny widziane naocznie, raporty i opowiadania o łupiestwie, mordach, gwałtach, pohańbieniach na spokojnej ludności miast i wsi... Westchnął i zamruczał cicho. Tak, to wojna... wojna... nieszczęście, cóż robić?... Nasza surowa i bezwzględna dyscyplina musi budzić w żołnierzach srogość i chęć odwetu za wszystkie krzywdy, doznane od przełożonych... To są logiczne następstwa psychologji żołnierza, który wobec wroga pozbywa się na chwilę ciężaru dyscypliny... i tylko głupcy mogą brać za złe swawolę żołnierską.

To rozumowanie uspokoiło drażliwość jego sumienia i patrząc na stos dzienników francuskich i angielskich, uśmiechnął się z politowaniem, jako człowiek wyższy i rozumniejszy

— Niech krzyczą, niech piszą, skarżą się i narzekają, ale my, Niemcy, idziemy zwycięsko naprzód, a steroryzowana ludność nie śmie drgnąć...

Jedynie ci *francs-tireursy*... podłe psy... oni chcą wpaść do Badenu, palić, niszczyć, rabować spokojne wioski niemieckie... a Baden bezbronny... ach, za każdą wieś niemiecką zniszczy sto wsi francuskich... za każdego Niemca powiesi stu Francuzów... on pokaże, co może zemsta patrjoty Niemca!...

Gdyby jednak ten Burbaki przedarł się do Badenu... gdyby...

Nachmurzony, z wydętemi, sinawemi wargami przystanął przy stole i spojrzał na rozłożoną mapę...

Dojrzał miasto Ettenheim w Badenie, w którego sąsiedztwie jego zięć miał większą posiadłość. Tam mieszka ukochana jego córka Minnchen z dwojgiem dzieci, Willy i Auguste... takie miłe, piękne, mądre wnuczęta... Łzy błysły mu w oczach na wspomnienie rozkosznego śmiechu wnuka i piękności wnuczki... a jego córka Minnchen, taka dobra, gospodarna, miła... czy też on ich jeszcze zobaczy?.. Na wojnie różnie bywa, kule nie rozróżniają generała od szeregowca... może on jednak wróci zdrów do swoich... Gdyby jednak ci *francs-tireursy* dopadli do Ettenheimu, dowiedzieli się, że to jego córka i wnuki, zamordowaliby je bez litości, mszcząc się za jego żołnierską surowość...

Na myśl o śmierci córki i wnucząt pobladł, poczuł trwogę, a na wyłysiałe czoło wystąpił pot. Przystanął, a po krótkim namyśle usiadł za stołem i zaczął pisać list, przerywając go monologami i odczytywaniem napisanych frazesów.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

gdyż tylko w takim razie mogłaby być mowa o niedozwolonej kolekcie publicznej.

Kurjer Poznański dowiaduje się, że z inicjatywy hakatystów, mają się w Księstwie tworzyć „banki parcelacyjne", których zadaniem będzie nabywanie polskich, większych i mniejszych nieruchomości i sprzedawanie ich między niemieckich nabywców. W zarządach tych spółek mają z początku zasiadać także Polacy i tak samo na urzędników mają być pozyskiwani Polacy! Jedna z takich spółek tworzy się w Kempnie pod egidą jednego z tamtejszych adwokatów. Spółka ta ma nosić nazwę: „Parzellierungsbank — Eingetragene Genossenschaft mit beschränkter Haftpflicht zu Kempen".

Pozyskani dla sprawy tej faktorzy „żydzi" głoszą, że spółka ta będzie miała charakter „internacjonalny".

Rada Banku ziemskiego zwołała nadzwyczajne walne zebranie akcjonarjuszów na 6 listopada, godz. 11 i pół przed południem do Poznania. Na porządku dziennym znajdują się: 1. Podwyższenie kapitału zakładowego z 3 na 4 miljony marek, 2. zmiana §. 5 ustawy, który ma odtąd brzmieć: Celem przedsiębiorstwa jest nabywanie, sprzedawanie, parcelowanie i dzierżawienie nieruchomości ziemskich, oraz pośredniczenie w tych interesach. Dozwolone są wszelkie czynności bankowe i kredytowe, zmierzające do ułatwienia powyższych zadań, lub do pomnożenia funduszów obrotowych Banku, a pomiędzy innemi przyjmowanie wkładów na lokację procentową. Wykluczone zaś są: zakupno i sprzedaż papierów giełdowych w celach spekulacji, podpisywanie weksli bez odebrania waluty i udzielanie kredytu bez realnej pewności.

Fałszywą pogłoskę o *Pracy* poznańskiej puściło w obieg przed kilku dniami *Słowo Polskie*. Doniosło mianowicie, że wydawca poczytnego pisma tego zamierza je sprzedać Moskalom za cenę 100 tysięcy marek. Dziś donoszą z Poznania, że pogłoska ta jest zupełnie bezpodstawną, a właściwie złośliwą kalumnią, rzuconą na wydawcę *Pracy* przez politycznych jego nieprzyjaciół. Jako taką piętnują ją także dzisiejsze pisma poznańskie.

Korespondencja.

Londyn 28 października.

(Podróż Chamberlaina do Transwaalu.)

Sensacyjną wieść przyniosły tutejsze dzienniki. Oto pan minister kolonij, Joe Chamberlain, sprawca właściwy krwawej wojny w południowej Afryce, zamierza wkrótce wsiąść na statek i popłynąć hen! daleko, ku kończynom „Czarnego kontynentu". Ma to być podróż eksploracyjna — coś w rodzaju kojącej maści na to, wrzodami nędzy i rozpaczy pokryte, ciało republik południowych... Pięć miesięcy upłynie wkrótce od zakończenia wojny z Boerami.

Po długich zapasach pokonali ich Anglicy i wcielili dwa duże kraje do swego światowego imperjum. Na oko tedy osiągnęli z wojny tej sukses duży. W rzeczywistości jednak rzecz przedstawia się nieco inaczej — o czem zresztą wiedzą sternicy nawy państwowej, jako dobrzy rachmistrze. Nie jest przeto nowiną dla nich, że ta zdobycz dwu republik nie stoi w żadnym stosunku do olbrzymich ofiar krwi i mienia, dlatego podboju poniesionych! Chamberlain i towarzysze oszukiwali poprostu naród angielski, podtrzymując go w szale wojennym, nic przeto dziwnego, że obecnie przychodzi coraz ostrzejsza reakcja, nawet wśród tych, którzy dawniej najgłówniej popierali awanturniczy manewr wojenny Chamberlaina.

Ogół zaczyna też przebąkiwać coraz głośniej, że ta cała kampanja była wielkim błędem, którego skutki dotkliwie zaciężą na Anglji. Sławy wojennej nie przysporzyła im bynajmniej — acz to jeszcze nie bolałoby Anglików, gdyby jeno zdobycz nie okazała się podobnie mizerną. Porażki moralne spadały na nich raz po razu i coraz dotkliwsze — lecz i z tem pogodziliby się lekko, gdyby je przynajmniej zdobyte złoto zrównoważyć mogło. Tymczasem po tak kosztownem zdobyciu 2 prowincyj — jak to coraz dowodniej się okazuje — nie mogą teraz rzec sobie, iż stoją już w południowej Afryce silną nogą. Rozległe te kraje przedstawiają obraz rozpaczliwego zubożenia i opustoszenia i należałoby wydać bajeczne sumy, aby bodaj od biedy naprawić wyrządzone wojną szkody.

Jakiż to cel może mieć ta wycieczka zapowiadana Chamberlaina? Prasa tutejsza — jak rzadko kiedy — jest w tym wypadku małomowną i poprzestaje na krótkich, ogólnikowych uwagach. Projekt podróży przyjęła korzystnie, nawet prasa liberalna, z *Morning Leaderem* na czele. Nie straciła bowiem zaufania do ministra kolonij i daje wyraz nadziei, że on przedewszystkiem zbada aż do dna smutną kwestję osławionych obozów koncentracyjnych. Spotkałem się nawet z ubolewaniem jednego z pism, iż Chamberlain dawniej nie powziął tej myśli, bo w takim razie i cała akcja sanacyjna dla republik południowych, byłaby może wedle jakiegoś racjonalnego planu wdrożoną.

Wnosząc z urzędowych głosów, minister pragnie na miejscu przekonać się naocznie o klęskach wojny i o stosunkach, wytworzonych przez nowy stan rzeczy. Ma on zamiar — powiadają tedy oficjaliści gabinetowi — rozmawiać z interesowanymi, aby usłyszeć ich zdania i poglądy na przyszłość... Wizyta jego rozszerzy się przeto na Kolonję Przylądka, Natal, Oranję i Transwaal, skutkiem czego Chamberlain dopiero gdzieś w marcu 1903 do Anglji powróci. Wreszcie i to jeszcze należy powtórzyć za tutejszemi pismami, że ta wycieczka ministerjalna nastąpi za zupełną zgodą króla, premjera lorda Balfoura i wszechwładnego w podbitych krajach wielkorządcy Millnera.

KRONIKA.

Przy zebraniach publicznych, zabawach towarzyskich i wszelkich uroczystościach pamiętajmy o ofiarach na budowę kościołów we wschodniej Galicji i na Towarzystwo Szkoły ludowej.

Lwów 4 listopada.

Stan powietrza. Godzina 12 w południe: Ciepłota + 7° R. Pogoda.

Z Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie. Jako członkowie założyciele, z wkładką 200 k., przystąpili do towarzystwa: Księgarnia E. Wende i sp. w Warszawie, tudzież dr. Nestor Bucewicz z Warszawy. Jako członkowie wspierający dożywotni z wkładką 50 k., przystąpili do towarzystwa: Szkoła im. św. Scholastyki w Krakowie, tudzież pp.: ks. Jan Tadeusz Lubomirski, Stefan Szczepkowski, dr. Władysław Wróblewski, dr. Edward Zieliński, wszyscy z Warszawy i rejent Józef Wolski z Ksińska.

Liczba członków czynnych zwyczajnych (wkładka roczna 8 k.) doszła do cyfry 452, członków wspierających zwyczajnych (wkładka roczna 1 korona) do cyfry 356.

Zgłoszenia i wkładki uprasza się przesyłać pod adresem towarzystwa: Lwów, Archiwum Bernardyńskie.

Nabożeństwo żałobne. Staraniem Towarz. dziennikarzy polskich, odbędzie się jutro o godzinie 9 rano w kościele archikatedralnym, nabożeństwo żałobne za spokój duszy śp. Liberata Zajączkowskiego, byłego prezesa i śp. Stanisł. Schnür-Pepłowskiego, byłego sekretarza Towarzystwa. Nabożeństwo odprawi w kaplicy św. Józefa ks. prałat dr. Lenkiewicz.

Odczyt. Jutro we środę o godz. 6 popołudniu wygłosi przebywający chwilowo we Lwowie znakomity badacz naszego języka p. Jan Karłowicz odczyt pt. „Cudowna moc słowa" (z dziedziny mitologji) Odczyt ten wygłosi p. Karłowicz na prośbę Towarzystwa powszechnych wykładów uniwersyteckich. Opłata za wstęp 10 halerzy.

Odczyt. We środę dnia 5 listopada b. r. odbędzie się w Czytelni katolickiej ciąg dalszy pogadanki dra Józefa Weigla „O hypnotyzmie". Początek o godzinie 7 wieczorem. Wstęp wolny dla członków i gości wprowadzonych i pań.

Konferencje prawnicze. Dnia 6 listopada b. r. (we czwartek), o godzinie 6½ wieczorem, rozpoczną się w Towarzystwie prawniczem konferencje, mające na celu uzyskanie poglądu na dotychczasową praktykę i judykaturę w zakresie nowych ustaw procesowych. Rozpocznie referat dra Aleksandra Dolińskiego „O zdolności procesowej, towarzystwie sporu i interwencji głównej".

Historyczna sala naszej rady miejskiej została w tych dniach, po raz pierwszy od czasu swego istnienia, uwiecznioną aparatem fotograficznym. Stało to się rzeczywiście bardzo na czasie, ze względu na to, iż w bardzo niedalekiej przyszłości zostanie zdetronizowaną do zwykłej „sali przyjęć", a rada przeniesie się do zupełnie nowej sali.

Specjalnego zdjęcia jeszcze „urzędującej" obecnej sali ratuszowej dokonał przed dwoma dniami znany artysta i właściciel atelier fotograficznego p. Köhler. Ze zdjęcia tego będzie sporządzona klisza, do zbiorowego wydania sylwetek „Nowych ojców miasta", które w zupełnie prywatnym i nic wspólnego z wydawnictwem naszem (co zresztą już zaznaczyliśmy raz w osobnej notatce) nie mającym nakładzie, ukaże się w połowie b. m. na półkach księgarskich, w wytwornej typograficznej szacie.

Artystycznie efektowną i ślicznie na motywach lwowskich emblematów pomyślaną kartę tytułową dla tego interesującego albumu skomponował znany i ceniony artysta, p. Stanisław Dębicki.

Komisja dla zakładu Bilińskich odbyła wczoraj posiedzenie w sprawie statutu dla tego zakładu. Pisaliśmy niedawno, że wskutek zbyt powolnego traktowania sprawy przez wydział krajowy, niezałatwiana była długo kwestja sfery wpływu konsystorza rz. kat. i wydziału krajowego na zarząd fundacji Bilińskich. Otóż obecnie w tej sprawie nastąpiło już porozumienie między tymi czynnikami a gminą — i komisja, uchwaliwszy potrzebne uzupełnienie statutu, odesłała go do namiestnictwa do zatwierdzenia.

Jeszcze nie ma drzewa w domenach! Ustawiczny brak drzewa w rządowym składzie we Lwowie, daje w tym roku szczególniej powód do skarg i narzekań i zupełnie słusznie. Przed paru tygodniami, gdy dyrekcja dóbr państwowych zapowiedziała zgłaszającym się, że nie ma i nie będzie mieć drzewa dla osób prywatnych na składzie wyjaśniliśmy poniekąd przyczynę tego braku, a to, że domeny sprzedały coś z 10.000 metrów drzewa br. Popperowi w Wygodzie. Jak się dowiadujemy, to rzecz się miała nieco inaczej, bo nie Popperowi, ale Tow. kaselskiemu dla destylacji drzewa, sprzedano powyżej podane *quantum* Istoty rzeczy to nie zmienia, ale fakt sam niepochlebnie świadczy o tem, jak krajowa władza dba o potrzeby tutejszej ludności. Pozwolimy sobie wątpić w to, czy ekonomicznie lepiej skarb państwowy wychodzi na masowej sprzedaży. bo za sprzedaż drobiazgową oczywiście wyższe ceny się bierze (w tym roku, nie wiedzieć dlaczego, cena sąga jest 32 koron). Przeciążeniem w manipulacji także nie może się dyrekcja tłómaczyć; bo od tego specjalnie jest biuro sprzedaży drzewa założone. Owóż musiały tu grać rolę jakieś wyższe względy, które fatalnie odbiły się na ludności lwowskiej oddanej z łaski dyrekcji lasów i domen na łup prywatnych handlarzy drzewem opałowem, którzy przeważnie za dobre ceny dają próchno. Jak się dowiedzieliśmy, po naszych artykułach, wydano rozkaz sprowadzenia do Lwowa niezwłocznie parę tysięcy metrów drzewa z lasów państwowych, ale zdaje się, że rozkaz ten pozostał jedynie na papierze, bo drzewa jak nie było, tak i nie ma. Zapytujemy, co to wszystko ma znaczyć?

Oświetlanie pomnika Wiśniowskiego. Jedno z pism porannych dziwi się, dlaczego w dni zaduszne nie był oświetlony pomnik Teofila Wiśniowskiego, na ulicy Kleparowskiej i dochodzi do wniosku, że społeczeństwo polskie puszcza w niepamięć ofiarną śmierć tego patrjoty. Otóż tak źle nie jest. Wtedy, gdy groby naszych zasłużonych bohaterów, znajdujące się na publicznych cmentarzach, są zupełnie opuszczone i nieoświetlone, pomnik Wiśniowskiego jest suto przyozdobiony i stroi się setkami świateł. Jest to zawsze w dniu 31 lipca, w rocznicę stracenia Wiśniowskiego. Tysiące publiczności gromadzą się wówczas pod pomnikiem, wznoszą ku niebu modły za dusze męczennika i śpiewają religijno patrjotyczne pieśni. Pamięci Wiśniowskiego poświęcamy więc stale, bardzo uroczyście jeden dzień w roku, dzień jego śmierci. Dla wszystkich innych ojczyźnie zasłużonych mężów, których zwłoki znajdują się we Lwowie, ryczałtowo poświęcamy tylko dni zaduszne.

Tak więc miała się rzecz dotąd. Ponieważ jednak podniesiono obecnie tę sprawę, przeto wice prezydent Michalski, który ofiarował swój grunt pod pomnik Wiśniowskiego i który własnym kosztem oświeca ten pomnik w lipcową rocznicę, oświadczył gotowość ponoszenia jeszcze i tych kosztów, jakie pociągałoby za sobą oświetlenie pomnika Wiśniowskiego w dzień zaduszny. Wogóle opieka, jaką otacza p. Michalski pomnik Wiśniowskiego, jest bardzo budującą i przykładną; trzeba bowiem wiedzieć, że p. Michalski, oprócz tego opłaca jeszcze podatek od gruntu, ofiarowanego pod pomnik, przekazał rodzinie swej w razie swej śmierci czujną, serdeczną troskę o ów pomnik i przeznaczył stosowny fundusz na oświetlenie pomnika w najdłuższe lata.

Kolej Lwów-Janów-Jaworów. Uchwałą sejmową z 4 lipca 1901 upoważniono wydział kraj. do objęcia akcji zakładowych Tow. kolei lokalnej Lwów Janów w razie budowy koleji Janów-Jaworów w kwocie 300.000 kor. pod warunkiem, że: 1. resztę kapitału dostarczą interesenci; 2. że rząd przyzna odpowiednie ulgi, ułatwienia i korzyści; 3. że kapitał budowy ustanowi wydział krajowy; 4. że warunki koncesyj ulczy wydział kraj.; 5. że z Towarzystwem zawarty zostanie kontrakt. Tym warunkom uczyniono już zadość. Kapitał efektywny obliczono na 1,800.000 kor. i ma być w ten sposób dostarczony, że wydane zostaną akcje zakładowe Tow. akcyjnego o równych prawach w pierwszej emisji w nom. wartości 300.000 kor. wpłacić się mającej przez kraj, na resztę zaś wydane zostaną akcje pierwszeństwa w wartości nom. 1,700 000 kor. z prawem do 4 proc. dywidendy. W umowie spółkowej, przesłanej obecnie Towarzystwu do podpisu, zaznaczono wyraźnie, że budowa powierzoną być ma przedsiębiorstwu krajowemu, również i materjały budowy, urządzenie taboru itp. pochodzić muszą z krajowych warsztatów i fabryk. Do administracji i kierownictwa budowy ma Towarzystwo używać wyłącznie tylko sił krajowych.

Lwów — w Rosji. Jeden z miejscowych czytelników zwraca uwagę naszą na fakt, że od pewnego czasu listy rozmaitych firm niemieckich w Austrji, adresowane do Lwowa, noszą na kopercie napis: Lemberg, — *Russland*". W ten sposób np. zakład wodoleczniczy dra Ballmanna w Meranie rozsyła z reguły cenniki swoje rozmaitym osobistościom we Lwowie, adresując: *Russland* Jest to, bądź co bądź, charakterystyczna ignorancja!

Hulają Ukraińcy! Z Tarnopola donoszą nam: Mieliśmy tu w pierwszy dzień Zaduszek takie same sceny na cmentarzu jak we Lwowie. Kiedy młodzież polska rozpoczęła pod krzyżem pamiątkowym za poległych w 1863 roku śpiewać „Z dymem pożarów", hajdamacy tutejsi, wychowankowie ruskiego gimnazjum, usiłowali zagłuszyć pieśń polską, śpiewając „Szcze ne wmerła Ukraina", a potem „Ne pora Lacham służyty". Była to bezczelna prowokacja — nie pierwsza zresztą ze strony tutejszej młodzieży ruskiej wobec Polaków. W świeżej jeszcze pamięci mamy zeszłoroczny wieczorek Szewczenki, zachowanie się uczniów ruskich w „Sokole", gdzie pobierają naukę gimnastyki i t. p. Dyrekcja zakładu powinna zwrócić uwagę na to, by wychowywać z uczniów gimnazjum ruskiego ludzi, nie hajdamaków.

Walka z niedźwiedziem. Z Czarnego Dunajca donoszą do *Głosu Narodu:* We wsi Wróblowce pod Czarnym Dunajcem, toczyła się onegdaj okropna walka pięciu włościan z niedźwiedziem.

O północy wracało pięciu włościan z karczmy do domu. Noc była ciemna. Przechodzili drogą zarośniętą po bokach krzakami. Na skręcie drogi z jednego z większych krzaków wyskoczył naraz niedźwiedź, którego tu nazywają „smokiem" i rzucił się na jednego z chłopów, Józefa Szechowicza. Na pomoc nieszczęśliwemu rzucił się drugi włościanin, Jan Bobek, ale i ten padł ofiarą: złośliwe zwierzę, pokąsawszy Szechowicza, rzuciło się znów na Bobka, chwytając go za rękę tak, że Bobek padł na ziemię nieprzytomny. Reszta trzech włościan, widząc na co się zanosi, napadła na niedźwiedzia z kijami i ogniem i dopiero po dłuższej strasznej walce, zdołano odstraszyć rozjuszone zwierzę, które uciekło napowrót do gęstwin.

Wartość dziennej pracy ruskiego włościanina. Wobec świeżo przebrzmiałych w parlamencie utyskiwań na temat nędznej płacy, jaką daje „szlachta" robotnikom rolnym w Galicji wschodniej, — jeden z naszych czytelników zwraca naszą uwagę na stosunek, jaki zachodzi pomiędzy wyżej wymienionem wynagrodzeniem, a kosztami, jakie chłopom przyznawane bywają przez urzędy za stratę dziennego zarobku. „Ciekawem byłoby, — pisze nasz czytelnik — zestawić tablicę wynagrodzenia, jakie przyznają nasze sądy chłopom za stratę dnia roboczego przy wezwaniach do sądu, względnie, jakie przyznają odszkodowanie za utraconą zdolność do pracy zawodowej w razie odniesionego uszkodzenia w bójce, przy napadzie i t. p. Faktem jest, że władza ocenia wartość utraconego zarobku na 20 ct, najwyżej na 50 ct. dziennie, a zdarza się często, że chłop sam nie inaczej ocenia tę wartość Chłop zapytany, ile żąda za stracony zarobek dzienny, oświadcza, iż 20 do 30 ct. i czuje się zupełnie zadowolonym, gdy taki ekwiwalent otrzyma".

Wybory na Śląsku. Dla wyjaśnienia telegramu o przebiegu wczorajszych wyborów z kurji gmin wiejskich na Śląsku, dodać musimy, iż Polakami postępowymi *(Forschrittliche Polen)* nazywają na Śląsku kandydatów, stawianych przez stronnictwa niemieckie przeciwko właściwym narodowym kandydatom polskim. nazwanych tam *National Polen*, Takimi kandydatami byli Kwaśnica, który upadł przeciwko Hrubyemu, takim jest także wybrany przeciwko ks Londzinowi Franciszek Helfar.

Jarmark na wino w Villany. Stowarzyszenie producentów wina w Villány urządza tamże w dniach 9, 10 i 11 listopada „kosztowanie" wina połączone z jarmarkiem i wystawą win Weźmie w niej udział 100 producentów z około 8000 wyborowych gatunków win. Obecny będzie też na wystawie węgierski minister rolnictwa. Tegoroczne gatunki win villańskich są o wiele lepsze od zeszłorocznych.

Defraudacja w Aradzie. Piszą z Budapesztu: Na podstawie zeznań, jakie złożył przy drugiem przesłuchaniu go u sędziego śledczego uwięziony generalny dyrektor aradzkiego Banku ludowego i przemysłowego, Böhm, uwięziony został w piątek popołudniu także buchalter Komszycky po 1½ godziny trwającem przesłuchaniu. Komszycky żył w bardzo złych stosunkach materjalnych, z czego Böhm korzystał. Komszycky przyznał się do wszystkiego i dodał, że latami całemi szedł Böhmowi na rękę Na swe usprawiedliwienie dodał tylko buchalter, że zbrodniczych manipulacji generalnego dyrektora tylko z litości nad Böhmem nie odkrył, bo ten groził, że w razie doniesienia się zastrzeli. Komszycky przyznał, iż Böhm dwukrotnie za niego długi płacił, a raz udzielił mu zaliczki 3000 koron. Śledztwo wykryło, że członkowie dyrekcji i rady nadzorczej dopuszczali się także licznych, choć nie karygodnych, nieprawidłowości. W szczególności niektórzy z nich byli dłużnikami Banku w rachunku bieżącym, choć nie dali nic na pokrycie takich długów. Nie jest wykluczonem, że śledztwo skompromituje jeszcze więcej funkcjonarjuszy Banku aradzkiego.

Miesiąc defraudantów. Ubiegły październik można śmiało nazwać w Austrji miesiącem defraudantów. Okazuje się bowiem ze zestawienia jednego z pism wiedeńskich, że w ciągu tego października odkryto w państwie austrjackiem 12 sprzeniewierzeń, względnie kradzieży, na imponującą kwotę 5,753 916 koron! Najwyższą kwotę, bo 5 miljonów sięgającą, zaprzepaścił w praskiej Kasie zaliczkowej św. Wacława, tyle głośny od kilku tygodni ks. Drozd, po nim figuruje z kwotą 305.000 gener. dyrektor Banku przemysłowego w Aradzie, Adolf Böhm, po nim idzie kasjer górniczy w Witkowicach, K. Bekarek, ze sumą 156.000, wreszcie szereg kradzieży krociowych zamyka kwotą 141.000 dyrekcja Tow. oszczędn. i zaliczek w Hohenruppersdorf. Śmiesznie też małą wobec tych imponujących „bohaterstw" złodziejskich, jest podana w tym wykazie kwota 84 k., sprzeniewierzona przez jakiegoś podrzędnego urzędnika pocztowej kasy oszczędności we Wiedniu.

Defraudacje. W śląskiej Kasie zaliczkowej na przedmieściu Katarzyny odkryto defraudację w kwocie 95.000 k. Uwięziono jednego z urzędników, nazwiskiem Bens.

Dziennik *Stampa* donosi, że w okręgowej kasie serbskiej w Pirot, popełniono defraudację na kwotę 150.000 franków. Defraudacji tej dopuścił się dawniejszy kasjer Towarzystwa.

Przeciwnik kary śmierci. Głośny elektotechnik amerykański, Mikołaj Tesla, jest przeciwnikiem kary śmierci. W tych dniach wzywany był do Nowego Yorku jako sędzia przysięgły, lecz został od tych obowiązków uwolniony, albowiem oświadczył, iż nie może uznawać barbarzyńskiej kary śmierci. „Ale wszak prawodawstwo państwowe zawiera karę śmierci, a pan uszanuje chyba należycie przepisy prawa?" zapytał sędzia prezydujący. „Nie mogę pogodzić moich zapatrywań z karą śmierci, a czynię tylko to, co mi wskazuje rozsądek", odparł Tesla. „W takim razie nie może pan być sędzią przysięgłym", zadecydował prezydujący i Tesla otrzymał dymisję.

Śmierć piechura. Po dłuższym pobycie w Atenach, piechur francuski, Charles Wang, odbywający pieszo podróż dokoła świata, puścił się w dalszą drogę do Janiny. Gdy wkroczył w granice Turcji napadli go rozbójnicy bułgarscy. Żółnierz turecki, dany mu dla bezpieczeństwa przez władze tureckie, uciekł. Rozbójnicy ograbili Wanga i trzymali go przez kilka dni w niewoli, wreszcie, przekonawszy się, że okupu nie otrzymają, zostawili go na drodze. Wycieńczony piechur dowlókł się do Janiny. Wypocząwszy tam i otrzymawszy pieniądze, wznowił podróż, ale zabłąkał się w górach i zmarł tam z wycieńczenia. Po kilku dniach włościanie znaleźli zwłoki i przywieźli do Janiny, gdzie je pochowano.

Drogocenny bruk. W m. Altman, w stanie Wirginji, zbadał pewien chemik żwir, użyty do zabrukowania ulic miasta i odkrył, że żwir jest bogaty w złoto, zawiera bowiem do 20 dol. drogocennego kruszcu na tonnę. Na wieść o tem odkryciu mieszkańcy miasta zaczęli tak grabić żwir złotodajny, że całe ulice ogołocono z bruków. Silne oddziały policji strzegą ulic, jeszcze nie ogołoconych.

Nowe odkrycia archeologiczne w Tessalji. Przy rozkopywaniu w Trikkala, rozpoczętem pod egidą rządu greckiego, uwiadomiono niedawno głównego kierownika Kastriotisa, że mieszkańcy wiosek sąsiednich już dawno potajemnie rozkopują wzgórza pobliskie, na których stoją szczątki dawnych murów. Zarządzono zaraz badanie i po trzech dniach już odkryto ważne rzeczy. Natrafiono na mury nieznanego dotychczas miasta, a niedaleko Akropolis 1, metr pod powierzchnią ziemi, liczne przedmioty klasycznej sztuki. Najważniejszym jest statuetka bronzowa rycerza w hełmie z tarczą i włócznią, świetnie zachowana, wedle stylu sądząc, pochodząca z VI w. przed Chrystusem. Prócz tego odgrzebano 7 włóczni, 2 klingi mieczów, 15 gwoździ, prawe skrzydło „nike".

Żywy nieboszczyk. Kłopot niemały ma angielskie ministerstwo wojny z pewnym żołnierzem z gwardji szkockiej. Nie wiadomo przez czyją pomyłkę żołnierz ten figurował od wielu miesięcy na liście zabitych w wojnie afrykańskiej, a zarazem wykreślony został z ksiąg stanu cywilnego jako umarły. Choć stało się zadość wszelkim formułom urzędowym, żołnierz miał na tyle bezczelności, że wrócił żywy z Afryki i co więcej, zażądał wypłaty zaległego żołdu. Poszedł jeszcze dalej, bo o swe życie pokłócił się jeszcze ze swym byłym podoficerem, za co mu zaaplikowano parę dni aresztu za niesubordynację. Co z nim dalej zrobią, nie donosi o tem korespondent londyński. Zapewne przywrócą go z urzędu do życia.

Połykacz pereł. Z Medjolanu donoszą: Do jednego z jubilerów zgłasza się wytworny jakiś mężczyzna, z akcentu Anglik, z żądaniem nabycia pereł Wybrawszy kilkanaście drobniejszych, lecz bardzo pięknych, prosi o szklankę wody.

Jubiler, zaniepokojony zachowaniem się nieznajomego, dzwoni na służącego, któremu poleca przynieść wody — wskazując mu zarazem nieznacznie pilnowanie gościa. Zapłaciwszy tymczasem umówioną cenę 8.0 franków, nabywca zgarnia kupione perły, wpuszcza je w podaną mu wodę i wszystko razem szybko wychyla do dna.

Widząc niebywałe zdumienie jubilera, nieznajomy objaśnia:

— Świetny to środek przeciw neurastenji, ale djablo drogi — wypiłem już pereł przeszło za 6000 franków.

Generale? Gdy przedstawiano sobie wzajemnie Chamberlaina i gen. Deweta, minister dla kolonij zagadnął go poprostu:

— Panie Dewet... (Mister Dewet)

— Generale.. — poprawił Dewet.

— Panie... — upierał się Chamberlain.

— Generale, albo nic! — oświadczył Dewet i cofał się do wyjścia.

Wobec tego minister musiał pójść za przykładem lorda Kitchenera i uznać stan wojskowy Deweta, zanim mógł go uścisnąć za rękę.

„Hamlet" ze stanowiska roznosiciela. Dwóch roznosicieli dzienników znajdowało się na przedstawieniu „Hamleta". W ostatniej scenie, gdy Hamlet zabija Laertesa, królowa i król umierają otruci a Hamlet kona, jeden z roznosicieli powiada do drugiego:

— Słuchaj, Janek, jakie to były złote czasy! Ile to się sprzedawało „dodatków nadzwyczajnych".

Korespondencja redakcji *J. W.* „Krzesło drugorzędne" nie oznacza drugiego rzędu; znaczy tyle, co krzesło w rzędach dalszych. Nazwa niewątpliwie niestosowna, ale przyjęła się w teatrach. Co do wyboru sztuk w „Teatrze ludowym", pisaliśmy już o tem niejednokrotnie. Innego środka nie mamy, a dozór nad sceną należy do tych, którzy ją subwencjonują.

Z kraju.

Brzeżany. (*Poseł sejmowy dr. Mogilnicki o swoich wyborcach poza wiecem*). Dnia 3 b. m. rozpoczęła się w Brzeżanach rozprawa karna przeciw Wigdorowi Schleicherowi, dyrektorowi jednego z banków żydowskich w Rohatynie, o lichwę i oszustwo. Jako poszkodowani stają całe szeregi włościan z powiatu rohatyńskiego, a więc wyborcy dra Mogilnickiego, wśród których Schleicher przez dłuższy czas boleśnie operował, narażając nie jedną rodzinę na ruinę majątkową.

Ale Schleicher i z poselstwa dra Mogilnickiego chce dla siebie jakąś w krytycznej chwili korzyść wyciągnąć i wybiera go na swego obrońcę, rozumie się za sowitem wynagrodzeniem.

Dr. Mogilnicki jedzie więc do Brzeżan do rozprawy, a tak się przejmuje swoją rolą obrońcy, że nie może darować chłopom ich zapomnienia dobrodziejstw ze strony Schleichera, wyświadczonych im przez udzielenie kredytu i wyraża się o nich: „to hołota, to chamy, łajdaki, to wszystko pod armaty i powystrzelać" i t. d.

Tak wygląda dr. Mogilnicki, obrońca ruskiego ludu przed wyzyskiem szlachty.

Jasło. (*Tajne bractwo*). W sądzie tutejszym odbyła się rozprawa główna przeciw włościanom z Myscowy, o założenie tajnego stowarzyszenia religijnego pod nazwą: „Bractwo św. Paraskewi". Trybunał uznał wszystkich oskarżonych winnymi zarzuconego im występku z §§ 285 i 286 u. k., względnie także przekroczenia z §§ 12 i 15 u. k. o stowarzyszeniach i wymierzył kary w wysokości jednego miesiąca, trzech tygodni i 10 dni aresztu.

Kamionka. (*Nieszczęśliwy wypadek*). Przed kilku dniami zdarzył się tu nieszczęśliwy wypadek. Karolina Müllerowa, żona tutejszego stolarza, podczas prania bielizny nad rzeką, wpadła — prawdopodobnie w przystępie ataku epileptycznego — twarzą w wodę i utonęła. Zmarła pozostawiła 6 drobnych dzieci.

Przemyśl. (*Oszukany kolektant*). W kolekturze loteryjnej Nusbauma wpadnięto na trop oszukańczej manipulacji z wpisywaniem wysokości stawek do wykazów mniejszych, niż kwitowano stawiającym na kartkach loteryjnych. Przypadkowo wygrał „terno" pewien oficer, który postawił 14 koron, a w wykazie wciągnięto tylko jedną koronę Nusbaum tłómaczył się, że nie on temu winien, ale jego pisarka, niejaka Dynasiewicz. Aresztowano na razie kobietę, a kolekturę zamknięto.

Sambor. (*Samobójstwo*). Odebrał sobie tu życie, w domu ojca swego, wystrzałem z rewolweru, żołnierz 28 pułku artylerji, Stanisław Rogalski. Powód samobójstwa niewiadomy.

* **Humorystyczny kalendarz Śmigusa** na r. 1903, ozdobiony prześlicznemi kolorowemi ilustracjami a odznaczający się bogatą częścią literacką, oraz wyczerpującym i dokładnym działem informacyjnym, mogą nabywać prenumeratorowie *Dziennika Polskiego* po wyjątkowo zniżonej cenie 35 ct. (70 hal.) wraz z przesyłką pocztową. Kieszonkowy kalendarzyk Śmigusa 10 ct. (z przesyłką pocztową 12 ct.

* **Z powodu zgonu** ś. p. dra Jana Roszkowskiego, zasłużonego członka wydziału Towarzystwa politechnicznego, nie odbędzie się w środę t. j. 5 listopada b. r. zgromadzenie tygodniowe, lecz wydział główny zaprasza członków do wzięcia udziału gremjalnego w obrzędzie pogrzebowym, który odbędzie się w dniu tym o godzinie 3 popołudniu z domu przy ulicy „Sokoła" l. 3, na cmentarz Łyczakowski.

* **Z „Sokoła".** Polskie Towarzystwo gimnastyczne, „Sokół" we Lwowie urządza jak w roku zeszłym w niedzielę dnia 9 listopada b. r. wieczór humorystyczny z nader urozmaiconym programem. Bilety po 30 ct, 20 ct., 10 ct. do nabycia w kancelarji Tow. począwszy od środy.

* **Posiedzenie** Towarzystwa filologicznego odbędzie się w sobotę dnia 8 listopada b. r. o godzinie 6 wieczorem w sali instytutu archeologicznego na wszechnicy. Na porządku dziennym: 1. Odczyt prof. Tadeusza Lewickiego p. t: „Kwestja opistodomu na zamku ateńskim Akropolis".

* **Z kasyna miejskiego.** W sobotę dnia 8 listopada b. r. o godzinie pół do 8 — wieczorek humorystyczny. Bilety do nabycia od dziś.

* **Z Czytelni akademickiej** W środę dnia 5 listopada b. r. odbędzie się w Czytelni akademickiej na posiedzeniu „Kółka krajoznawczego" pogadanka na temat: „Województwo Augustowskie w dobie obecnej". Wstęp wolny.

Zmarli:

We Lwowie zmarł Jan Roszkowski, dr. chemji i filozofji. Rodem był z Królestwa. Brał żywy udział w pracach Tow. politechnicznego

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we wtorek „Tamten", sztuka w 5 aktach Józefa Maskoffa.

Jutro w środę „Mam'zelle Marion", operetka w 4 aktach Roberta Planquett'a.

We czwartek „Marja Stuart", tragedja w 5 aktach Fryderyka Schillera. Gościnny występ Heleny Modrzejewskiej i Józefa Śliwickiego.

W piątek „Świat na opak", fantastyczno-groteskowa operetka w 5 odsłonach K. Kapeller'a.

Repertoar Filharmonji lwowskiej. We wtorek, 4 listopada, „Koncert symfoniczny", ze współudziałem Fannie Bloomfield Zeisler, pianistki. Program: I. 1 Smetana: Uwertura „Libusza"; 2. Grieg: Koncert A moll z tow. ork., odegra Bloomfield-Zeisler. II. Beethoven: Symfonja nr. 1. III 1. H Litolff: Scherzo z koncertu D moll (op. 112) odegra F. Bloomfield-Zeisler; 2. Noskowski: „Morskie Oko".

P. Maksymiljan Ułanowski, baryton, który miał koncertować we środę w sali Narodnego domu, zaniechał tego występu, a natomiast przyjmie udział w czwartkowym koncercie Filharmonji.

Z fundacji im. Tadeusza Kościuszki, wydała „Macierz polska" pierwszą książkę. Poświęciła ją czci męża, którego imię nosi fundacja, pragnąc w ten sposób już przy tem wydawnictwie spełnić jedno z zadań, przekazanych jej przez fundatorów: rozbudzanie uczuć patrjotycznych wśród społeczeństwa polskiego. Zamiarem komitetu wydawniczego było również, aby dzieło to obznajomiło szerokie warstwy publiczności z celami i duchem fundacji i dlatego książka — tytuł jej: „Tadeusz Kościuszko" — napisana jest tak, ażeby mogła zająć i pouczyć ukształconego także czytelnika Autor dzieła, p A. Chołoniewski, oparł opracowanie swe na najnowszych badaniach naukowych, a postać Kościuszki pojął, jako „wykwit i koronę" całego narodu Komitet zwrócił ze swej strony baczną uwagę na wygląd zewnętrzny wydawnictwa. To też książkę, wydaną w kształcie dużej ósemki, zdobi kolorowa okładka z oryginalnym medaljonem Kościuszki, a w tekście znajduje się 40 rycin, z których wiele okazuje się tu dopiero po raz pierwszy. Umyślnie do wydawnictwa tego wykonano też dwie barwne tablice, przedstawiające rozmaite rodzaje wojska z czasów powstania z roku 1794. Całe dzieło obejmuje 133 stron druku, cena zaś jego, przez wzgląd na cel publikacji, wynosi 1 koronę (na lepszym papierze 2 k.).

Mowa
prof. dra Stanisława Głąbińskiego
posła m. Lwowa,

wygłoszona na posiedzeniu izby poselskiej dnia 29 października br., podczas dyskusji nad wnioskami naglącymi pp. Breitera i Daszyńskiego, w sprawie strejków rolnych we wschodniej Galicji.

(Wedle zapisków stenograficznych).

(Dokończenie).

Teraz mogę zwrócić się do p. Romańczuka, który we swojej wczorajszej mowie rzucił pytanie: Co mają uczynić „biedni, nie mający zarobku chłopi i dokąd mają się zwrócić?“ Mógłbym mu na to pytanie odpowiedzieć trafnie również pytaniem. Zapytuję więc p. Romańczuka: Co robią polscy chłopi w Galicji zachodniej, gdzie przecież zaludnienie jest jeszcze gęściejszem, niż w Galicji wschodniej i gdzie ziemia nie jest tak urodzajną, jak na Podolu?

P. Romańczuk. Ale ceny robocizny są tam wyższe!

P. Głąbiński. A przecież wiadomem jest, że chłop polski pod względem ekonomicznym stoi od chłopa ruskiego o wiele wyżej, a wyższość tą zawdzięcza jedynie swej energji i swej ekonomicznej samopomocy. (Oklaski.)

Podczas gdy chłop ruski z założonemi rękami biada nad swoim losem, nad wiecznie wyrządzaną mu niesprawiedliwością, podczas gdy chętnie słucha podszeptów o podziale gruntów, strejkach i bojkotach, a w razie emigracji mienie swe sprzedaje za bezcen (Głosy: Bardzo słusznie.), aby za granicą znaleść dla siebie lepszą dolę, chłop polski wędruje w świat daleki, do Niemiec, Węgier, Rosji, Wiednia, Budapesztu, Tyrolu, ba nawet do Ameryki i Azji, aby tam znaleść przez pewien czas zarobek, aby wyżywić swą rodzinę i utrzymać w posiadaniu swą ojcowiznę. (Oklaski.)

P. Romańczuk. To samo czynią i chłopi ruscy!

P. Daszyński. Półtora miljona chłopów polskich pozostało w Ameryce!

P. Głąbiński. Tak jest, wielu z nich pozostało, ale wielu także powróciło. Stosownie przeprowadzone dochodzenia w niektórych gminach Galicji zachodniej — pan, panie Daszyński, nie masz czasu do podobnych badań (Wesołość) — wykazały, że wskutek tego zarobku za granicą, dochody niektórych gmin wzrosły więcej, niż o połowę i że wskutek tego dobrobyt niektórych okolic Galicji zachodniej znacznie się podniósł.

Wysoka izbo! Muszę po trzecie wspomnieć jeszcze o trzecim punkcie widzenia wnioskodawców, którzy wychodzą z tej zasady, iż chłop jest ograniczony tylko na zarobek u odnośnego właściciela. Trzeba najpierw zapytać się, czy ten, tak zwany „obszarnik“, potrzebuje wogóle robotników. Jeśli robotnika potrzebuje, to jest zobowiązany robotnika tego sumiennie i sprawiedliwie wynagradzać, ale daleko idące żądania stawiać można tylko tym właścicielom, którzy są w istocie bogaci i wskutek tego powinni zadość czynić swym społecznym obowiązkom. Tak zwana większa własność, a właściwie średnia własność w Galicji wschodniej, znajduje się dziś w takiem położeniu ekonomicznem, że muszę je nazwać beznadziejnem. (Potakiwania) Jak się ma rzecz z tą własnością, to panowie wnioskodawcy wiedzą o tem bardzo dobrze, ale oni panom tego nie wytłómaczyli, wskutek czego muszę ja to w krótkości uczynić. Proszę przysłuchać się tylko niektórym datom statystycznym, które o wiele lepiej mówią, niżbym to ja uczynić potrafił. Według urzędowych wykazów w r. 1899, było w dobrach dominikalnych 710, w r. 1900 aż 898 zmian własności, tj. więcej, niż w całem państwie. W drodze egzekucyjnej zostało w r. 1899 sprzedanych w Galicji 31 dóbr za sumę 3,502.705 koron, w r. 1900 54 dóbr za sumę 4,770.445 k.

W innych zaś prowincjach państwa, to w r. 1899 sprzedanych zostało egzekucyjnie tylko 9 dóbr za cenę 1,178.517 kor. W r. 1899 w Galicji w 1.457 wypadkach zostało zaintabulowanych na hipotece dóbr 4,520.731 kor., natomiast w innych prowincjach monarchji zostało zaintabulowanych w 302 wypadkach tylko 1,033.360 koron. W r. 1900 zaciągnięto na dobra nowe pożyczki w 1.366 wypadkach kwotę 4 393 229 kor., w innych prowincjach w 291 wypadkach sumę 934.668 koron.

P. Daszyński. A mimo to panowie ci grają jeszcze w karty.

P. Głąbiński. Zaraz panu odpowiem. Widzę, że p. Daszyński ironicznie się uśmiecha i pewno mi zechce zarzucić, że ci zdzieracze skóry chłopskiej są sami temu winni...

P. Daszyński. Ma się rozumieć!

P. Głąbiński. Są sami sobie winni ci, którzy marnotrawią pot i krew biednego robotnika.

P. Daszyński Bardzo słusznie!

Co do mnie, szanowny panie, to znam stosunki, jestem zarazem zupełnie niezawisłym, nie staram się o czyjekolwiek względy, ani wielkich, ani małych — i mogę pana zapewnić, że nie masz słuszności. Być może, iż przed lat kilku dziesiątkami, mogło występować w szerszych rozmiarach rozrzutne życie szlachty, ale dzisiaj są to bardzo wyjątkowe wypadki i to wśród młodzieży. Ogół właścicieli dóbr, — że nie wspomnę już o ubogim dzierżawcy,—jest zaledwie w możności wyżyć odpowiednio do swego stanu.

Przyczyny i motywy zmiany stosunków ekonomicznych i ciężkiego upadku średniej własności w Galicji, tkwią głęboko w dzisiejszym systemie prawnym, ekonomicznym i kredytowym. Szukać ich należy częściowo w znanych momentach niekorzystnych konjunktur światowych, w nacisku pozakrajowej konkurencji, w powszechnem obdłużeniu ziemi, we wzroście wynagrodzenia za pracę, w kosztach środków produkcji i w spotęgowaniu się ciężarów publicznych, — a po części w stosunkach specjalnie galicyjskich. Co do tych ostatnich, to dotyczą one z jednej strony braku industrji i przeludnienia, które to ostatnie daje się odczuwać nietylko w szerokich masach ludności, ale także w sferach szlacheckich; z drugiej zaś strony — powszechnej w Galicji nędzy ekonomicznej, która w drodze naturalnego oddziaływania szerzy się we wszystkich sferach i wśród wszystkich zawodów ludności.

Po tych uwagach ogólnego charakteru pragnę dotknąć w krótkości stosunków wynagrodzenia za pracę w Galicji. Wobec niezgodnych z prawdą, lub przesadnych twierdzeń, których winowajcami stali się prawie wszyscy mowcy ze strony przeciwnej, winienem przedewszystkiem zaznaczyć, że płaca robotnika w Galicji wschodniej normuje się w rozmaitych powiatach i w rozmaitej porze roku tak bardzo różnorodnie, że z poszczególnych wypadków nie da się wysnuć ogólny wniosek o ich całości.

Panowie przeciwnicy trzymali się dziwnej taktyki w swych przemówieniach. Tak np. p. poseł Breiter i — jeżeli się nie mylę — także któryś inny poseł, odnośnie do wysokości płacy, powoływali się na wywody mego byłego kolegi, profesora Pilata, ale nie wspomnieli ani jednem słowem o tem, że przytaczane daty odnoszą się do stosunków z przed lat dwudziestu pięciu i trzydziestu. (Wesołość).

P. Daszyski: Także do roku 1893, kochany panie.

P. Głąbiński: Nie!

P. Daszyński: Mam tutaj daty.

P. Głąbiński: To są inne daty. Na te daty nie powoływał się profesor Pilat. On powoływał się na wyniki ankiety, którą zarządził był wydział krajowy.

P. Daszyński: Pokażę panu, że posiadamy daty z r. 1893.

P. Głąbiński: O tych datach niebawem pomówię również. Również nie przytoczyli ci panowie potępiającego sądu tegoż autora o trwaniu czasu roboczego i o wartości pracy robotnika.

Niektórzy panowie, a to: poseł Romańczuk, jak również pan poseł Daszyński, powołali się znowu na daty urzędowej statystyki płacy z r. 1893, która to statystyka została ogłoszoną w 14 roczniku podręcznika austrjackiego. Przypadkowo jednak panowie ci przytoczyli tylko najniższe płace zimowe, a i te nawet tylko z niektórych powiatów.

P. Daszyński: Nie! Wszystkich okolic, z całego terenu strejkowego! Nie zmyślaj pan!

P. Głąbiński: Nie zmyślam, mój panie! Pan zmyślasz i ja to panu dowiodę! Bądź pan jednak łaskaw, słuchać trochę. Ja słuchałem pana i nie przerywałem, jakkolwiek wiedziałem, że wszystko, co pan mówiłeś, były zmyślenia.

P. Daszyński: Ale hrabia Dzieduszycki przerywał mi także!

P. Głąbiński: Ale nie ja! A zatem, spojrzymy, jak przedstawia się płaca według tej statystyki, na którą powołują się ci panewie. Pan Romańczuk powiedział, że wynagrodzenie waha się pomiędzy 20 do 45 centów.

P. Romańczuk: W miesiącach zimowych od 1 grudnia po koniec maja!

P. Głąbiński: Tego nie słyszałem.

P. Romańczuk: Tak powiedziałem, ale pan nie słuchałeś.

P. Głąbiński: Zechciej-że pan teraz posłuchać; to są daty urzędowe. Wedle tej statystyki, płaca na zamówienie, bez wiktu, wynosi przeciętnie: w Galicji wschodniej od 27 do 57 centów, w Galicji zachodniej od 30 do 90 ct., na Śląsku, w sąsiednim kraju przemysłowym, od 30 do 90 ct. W czasie żniwa, wedle tej samej statystyki: w Galicji od 32 ct. do 1 zlr. 12 ct., w Galicji zachodniej od 35 ct. do 1 zlr. 20 ct., na Śląsku od 45 ct. do 1 zlr. 52 ct.; w innej porze roku: w Galicji wschodniej od 23 ct. do 50 ct., w Galicji zachodniej od 25 ct. do 70 ct., na Śląsku od 25 ct. do 85 ct.

W urzędowej statystyce zestawiono daty w ten sposób w dwóch rzędach, że jeden zawiera ceny najniższe, drugi zaś najwyższe. Przytoczyłem tutaj panom obadwa rzędy razem.

P. Romańczuk: Ja uczyniłem tak samo!

P. Głąbiński: Panowie niewątpliwie zaświadczycie mi, że tych płac nie słyszeliście od pana Romańczuka.

P. Romańczuk: Proszę, zajrzyj pan do protokołu stenograficznego!

P. Głąbiński: Ale ja ich nie słyszałem, chociaż słuchałem bardzo pilnie.

P. Romańczuk: Ja nawet z reszty sześciu miesięcy zakomunikowałem ceny przeciętne!

P. Głąbiński: Następnie uderzyło mnie, że pan poseł Romańczuk prawił tak wiele o wyzysku na Podolu, ale nie przytoczył ani jednego nazwiska, oprócz nazwiska hrabiego Lanckorońskiego. Otóż, moi panowie, znacie zapewne dzielnego męża, hrabiego Lanckorońskiego, który wszakże większą część swego dochodu rozdał w Wiedniu na rozmaite cele publiczne, a głównie na naukowe. Niemożliwa chyba, aby ten właśnie pan był tak zawziętym na skórę ubogiego, ruskiego chłopa. (Wesołość.)

Z kolei pan poseł Romańczuk poczęstował nas historją romantyczną na wzór znanych galicyjskich „historyj“ Sacher Masocha (wesołość), opowiadając, jak to niegrzecznie zachował się administrator tego hrabiego wobec kobiet, zbierających grzyby w lasach.

P. Daszyński: To już prawda!

P. Głąbiński: Moi panowie! Administrator hrabiego Lanckorońskiego, który jest rzeczywiście właścicielem wielkich posiadłości i ma tyle folwarków — ma chyba coś więcej do roboty, aniżeli myszkować po lasach za babami, zbierającemi grzyby. Mogło to, mój panie pośle, dotyczyć chyba zwyczajnego ruskiego leśnego (Wielka wesołość.), który ze swego zadania wywiązał się we właściwy, prawdziwie ukraiński sposób. (Żywe oklaski i wesołość.).

P. Romańczuk: Na rozkaz polskiego administratora. To właśnie prawdziwa polska administracja!

P. Głąbiński: Administrator to nie był.

P. Daszyński: Pan fakt przyznaje.

P. Głąbiński: Nie wiem o nim. Po lasach nie chodzę.

P. Daszyński: Pan nie wiesz, czy on sam to uczynił, lub też rozkazał. Tu nie chodzi o osobę. Tu nie zależy na tem, czy on sam to uczynił!

P. Głąbiński: Niechaj się pan tak nie gorączkuje.

P. Daszyński: A, z pana nawskróś kulturny człowiek.

P. Głąbiński: Pan zaś jesteś modnym socjalistą.

P. Daszyński: Zmuszać kobiety do biegania nago po lesie!

P. Głąbiński: Nie wiem o tem, ale, kochany panie pośle, potępiam to także. Powiedziałem tylko, że nie mógł być nim administrator polski, ale zwyczajny, ruski dozorca lasów. Moi panowie! Jest to, bądź co bądź, rzecz zastanawiająca, iż mowcy ze strony przeciwnej tak wiele rozprawiali tutaj o nędznej zapłacie, a — jak mi się zdaje — ani jednem słowem nie wzmiankowali o tej formie wynagrodzenia, która przeważa na Podolu, gdzie strejk przybrał najostrzejszą cechę, gdzie nawet spowodował wystąpienie wojska. Wyjaśnieniem tego jest fakt, że na Podolu zazwyczaj praktykuje się wynagrodzenie udziałem w zebranym drodukcie (Potakiwania), mianowicie w 12-ej, 11, 10, a czasami nawet w 9-ej części całego zbioru, wraz ze słomą.

Pilny robotnik może przy tej płacy zarobić dziennie 1 do 2 zł., a wiem o tem z własnego doświadczenia. Ma jeszcze i tę korzyść, że może mu pomagać cała rodzina i że otrzymuje jeszcze słomę i mierzwę. Wynagrodzenie to jest dość wysokiem. Pozorne przeciwieństwo, z jakiego właśnie powodu w tych powiatach spoczywał punkt ciężkości agitacji strejkowej, da się wyjaśnić łatwo, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w tych stronach przedewszystkiem właściciele wielkich posiadłości nie znajdowali się w położeniu przymusowem uczynienia zadość daleko idącym pretensjom strejkujących wieśniaków, lecz mogli łatwo sprowadzić obcych robotników z innych powiatów, a nawet robotników polskich z gmin sąsiednich, z Galicji zachodniej, lub z okolic górskich. To, oczywiście, nie podobało się agitatorom.

A jednak, przy tem wynagrodzeniu na udział, koszt żniwa na mordze gleby wypada na 16 do 20 koron, a czasami nawet więcej. Sądzę, że nawet wielcy właściciele w zachodnich krajach Austrji z trudnością zgodziliby się na takie wynagrodzenie, mianowicie zaś na utratę słomy i ziarna.

Nie dziwi mnie jednakże, że panowie wnioskodawcy zapomnieli o tem wszystkiem. Nędzna płaca trafia się również w Galicji wschodniej i temu nie przeczę. Posiadamy niektóre gminy, gdzie wynagrodzenie jest zanadto niskie, gdzie skutkiem surowego prawa o podaży i popycie, można mówić o płacy nędznej.

Nie mam też nic przeciw temu, ażeby podobne wypadki stawić pod pręgierz równie stanowczo, jak to uczynił pan poseł Daszyński. Ale zechciejcie panowie uwzględnić, że również w innych krajach, chociaż może nie tak często, mają miejsce takie nędzne płace, nie wykluczając błogosławionych Czech i Moraw, jak o tem dowiadujemy się z dzienników.

(Poseł Daszyński: U arcyksięcia Franciszka Ferdynanda!)

P. Głąbiński: Nie wiem, ażali coś podobnego zachodzi u arcyksięcia.

Moi panowie! Widzicie przeto, że właściwy motyw strejku nie wypływał bynajmniej z ekonomicznej kwestji o wynagrodzenie, ani nawet nie z troski panów agitatorów o dobro ludu (wesołość), ale że należy go szukać w agitacji i w dążeniach narodowościowych i politycznych, jak wogóle w wielu mowach tutaj więcej poświęcano uwagi wyborom i wyborczemu krętactwu, aniżeli rzeczywistej sytuacji ekonomicznej wszystkich sfer mieszkańców Galicji. (Żywe potakiwania i oklaski). Radykalny program Rusinów domaga się nie od dzisiaj podziału lasów i pastwisk w pierwszej mierze, a dopiero na dalszym planie rozdziału gruntów pomiędzy chłopów. Wiemy jednak, że w państwie prawa taki rozdział przymusowy nie może mieć miejsce.

Z tej przyczyny radykalni panowie w najświeższym swym programie ograniczyli cokolwiek swe żądania i domagają się obecnie, ażeby rząd bądź to bez procentu, bądź zadarmo oddał im do dyspozycji 150 miljonów w dziesięciu ratach, a to na cele wykupna wielkiej posiadłości i rozdziału jej pomiędzy chłopów. (Wesołość).

Pomijając dziwną supozycję, jaką tutaj podsuwa się państwu i rządowi, mamy w tym programie właściwe wyjaśnienie ekonomicznych motywów strejku w Galicji. (Zaprzeczenia).

Okolicznościowo byłem już zmuszony dotknąć także politycznej strony strejku w Galicji wschodniej; obecnie przystąpię do bliższego omówienia i zbadania tej właśnie strony. Wskazałem już, że studenci ruscy wypracowali program narodowo-polityczny, którego treść stanowi odbudowanie państwa ukraińskiego, a mianowicie wolnej i niepodległej Ukrainy bez pana i chłopa, jak oni się wyrażają.

(Poseł Romańczuk: Tak samo, jak panowie dążycie do odbudowania dawnej Polski!)

P. Głąbiński: Nie mówimy tutaj o Polsce, lecz o programie panów. (Wesołość).

Taki więc program postawili sobie ruscy studenci i otwarcie przyznali w swym organie *Moloda Ukraina*, że walka o uniwersytet ruski właściwie nie dotyczy uniwersytetu, lecz, że rozpoczęli bój o wolną Ukrainę. Dają przytem stanowcze zapewnienie, że sztandar wojenny niebawem powieje z murów uniwersytetu. (Wesołość).

Również partja radykalna postanowiła dołożyć sił wszelkich, ażeby właścicieli wielkiej posiadłości — jak ona się wyraża — ale właściwie, ażeby wszystkich Polaków — jak to wypływa z artykułów jej prasy — wydalić z Galicji wschodniej. (Wesołość)

Poseł Romańczuk: O naiwności!

P. Głąbiński: Pozwolę sobie panom przytoczyć kilka cytatów, ażeby scharakteryzować usposobienie, jakie panowało wśród Rusinów w okresie strejkowym, a zarazem, ażeby rzucić właściwe światło na źródło i treść owych gróźb, które tu w swej konkluzji sformułował nam pan Romańczuk. (Oklaski).

Tak n. p. w czasopiśmie *Moloda Ukraina*, organie młodzieży ruskiej, czytamy:

„Musimy wytrwać w usposobieniu wojowniczem. Walka, którą zaprzysięgliśmy, nie ogranicza się sprawą uniwersytecką, ale sięga głębiej o wiele, bo aż do szpiku naszego narodowego życia.

„Rozniecíliśmy ogień, a wy musicie strzedz iskier, dopóki nie powrócimy. Musicie być przygotowani na wielkie chwile.

„Pożogę rozniesiemy po całej Ukrainie“.

Pod „Ukrainą“ rozumieją młodzi Rusini państwo od Cisy i Wisłoka w Galicji, względnie Węgier, aż po Don i Kuban w Rosji południowej.

Poseł Mikołaj Wasylko: Tam mieszkają wyłącznie Rusini!

P. Głąbiński: Ja też tylko wyjaśniam, co tutaj ma się rozumieć pod nazwą „Ukrainy“. Uspokój się pan.

P. Mikołaj Wasylko: Ja też jestem spokojny.

P. Głąbiński. „Krew poleje się wprawdzie obficie, ale to właśnie dobrze. Ziemia nie wpaja w siebie krwi bezpowrotnie. Rozpalimy ogień i urządzimy pożogę budynku, w którym przebywają epigonowie naszych ojców, którzy użyją go za pochodnię“. Pragną pomścić się na Polakach za swych przedków. „Zbliża się zakończenie uczty“. (Jest tu aluzja do krwawej uczty z „Hajdamaków“)

„Wkrótce zagrają trąby, ażeby dzień krwawy zwiastować.

„Pragniemy zatańczyć nad trupami, albowiem czoła nasze palą rany z przelanej krwi naszych ojców“.

Nie rozchodzi się zatem o dzisiejsze krzywdy, ale o to, ażeby pomścić krzywdę, dokonaną na ojcach, na Rusinach pańszczyźnianych.

Inny organ, dodatek *Diła*, pod tytułem „Hajdamaki“, pisze:

Poseł Romańczuk: To nie jest żaden dodatek!.

P. Głąbiński. Niech pan poczeka; nie będę wiele czytał. (Czyta): „Kim jesteśmy, — mówić nie potrzeba“, — piszą „Hajdamaki“, — albowiem w naszym tytule wypisaną jest nazwa: Hajdamaki. Naszym celem ostatecznym jest wolna, niezawisła Ukraina“.

W artykule „Ostrożnie z ogniem“ czytamy pomiędzy innemi: A proszę uważać, albowiem nie rozchodzi się tutaj o samych Polaków, ale także o inne ludy Austrji (czyta): „Nie zamknęliśmy bynajmniej swoich wszystkich rachunków, a przynajmniej nie we wszystkich kierunkach. Skoro raz będziemy gotowi w kraju z Lachami, — jest to wzgardliwa nazwa Polaków — to jeszcze nie znaczy, iżbyśmy byli gotowi z innymi ludami państwa, z rządem centralnym i z dynastją“. (Wesołość).

P. Daszyński. Jest to prosta denuncjacja, jak drukowana!

P. Głąbiński. Bardzo proszę! To nie denuncjacja. Wszak mam tutaj odnośny numer. To nazywasz pan denuncjacją?

P. Daszyński. Panie profesorze, wszak nie jesteś pan urzędnikiem policyjnym; jesteś pan profesorem, mężem nauki!

P. Głąbiński. Tak jest. A panu to właśnie jest nieprzyjemnem.

P. Daszyński. Pfuj!

P. Głąbiński. Pfuj, raczej na pana! Oto jest Polak!

P. Daszyński. To jest profesor! Mąż nauki! Pfuj i raz jeszcze: pfuj!

P. Głąbiński. Pfuj, na pana! Denuncjacją to nie jest. Jest to rzecz drukowana. Pismo to otrzymałem!

P. Daszyński. To jest tłómaczenie!

P. Głąbiński. Może pan potrafisz przetłómaczyć to lepiej.

P. Daszyński. A zatem broń pan dynastji! (Głośne przerywania i niepokój. Wiceprezydent Kaiser dzwoni).

P. Głąbiński. Ale panowie nie słyszeliście jeszcze ostatniego słowa ruskiego ludu. Tutaj rozchodzi się o scharakteryzowanie usposobienia umysłów, jakie panuje pomiędzy Rusinami. To samo pisemko przeczy stanowczo, jakoby w Galicji żyli Polacy. Są to Rusini, mówi ten organ, „albowiem kto urodził się w kraju ruskim i tutaj się wychował, jest wszakże Rusinem, a nie Polakiem“.

W drugim numerze „Hajdamaków“ znajdujemy odezwę, w której czytamy (czyta):

„Wyrastajcie i chwytajcie broń, ażebyśmy ze swego kraju wygnali wszystkich wrogów i śmiało mogli im zawołać: Precz! Zostaw miejsce dla nas, Lachu! Od Dniepru do Sanu wszystko należy do nas!“ I oto, Polak Daszyński ma jeszcze odwagę, bronić tego! (Żywe potakiwania i oklaski).

P. Daszyński. A pan denuncjujesz!

P. Głąbiński. Proszę, wszak to wydrukowane!

P. Daszyński. Ja denuncjantem nie jestem.

P. Głąbiński. Pan właśnie denuncjowałeś. Nie jest denuncjacją to, co jest drukowanem w piśmie publicznem! A to wszakże wydrukowano w „Hajdamakach“. Wiem, że to dla pana nieprzyjemne, kochany panie! (Olaski).

P. Daszyński. Pan denuncjujesz. A w piśmie tem są głupstwa!

P. Głąbiński. A zatem piszą się głupstwa. Panowie, skoro tylko drobnostkę znajdziecie w piśmie polskiem, natychmiast ją wyzyskujecie.

Porzucam obecnie „Hajdamaków“ i przechodzę do innego organu: *Swobody*. W numerze 30 czytamy pomiędzy innemi (czyta):

„Rozpoczęła się walka i będzie z dniem każdym ostrzejszą. Początek uczynili sejmowi posłowie ruscy przez swą secesję“.

Panowie ci przeczą, jakoby secesja studentów szła ręka w rękę ze strejkiem (czyta):

„Tę secesję naśladowała ruska młodzież uniwersytecka. Nieprzyjaciel już czuł, że po tej secesji nastąpi coś silniejszego“...

Ale mamy jeszcze inną gazetę: *Hromadzkij Hołos*, organ p. Iwana Franka. Ten w nr. 15 pisze (czyta):

„Jeżeli strejk nie pomoże, to ludowi ruskiemu pozostaje jeszcze coś innego. Gnębicieli naszych wykurzymy za San środkami ostrzejszymi“.

Sam pan przecie (zwrócony do p. Daszyńskiego) interpelowałeś, dla czego ten ustęp został skonfiskowanym (wesołość). Ruscy panowie są niezadowoleni, gdy im coś skonfiskują. Ci biedni, uciśnieni Rusini! (Wesołość.— Mowca czyta dalej:

„Wy, panowie polscy, sami nas nauczyliście tego, że każdy Rusin już od dziecięctwa jest dla was takim wrogiem, jak Prusacy, lub Rosjanie“.

P. Daszyński: Słuchajcie! Słuchajcie! To wyście tak wychowali! (Zaprzeczenia).

P. Głąbiński: Nie! To jest zemsta za krew, którą przelali hajdamacy. Tu wydrukowano wyraźnie! (Czyta):

„Zauważyliśmy to i dlatego, jak długo pozostanie przy życiu jeden chłop ruski — strejk nie będzie jeszcze ostatniem naszem słowem. Jeśli nie pomoże strejk, przyjdzie na porządek dzienny coś takiego, co was odrazu zmyje z powierzchni. (Słuchajcie! Słuchajcie!).

Iwan Franko jest znanym, publicznym korespondentem dziennika *Die Zeit* i innych pism niemieckich. (Przerywania).

Tenże sam organ pisze na stronie 65 (czyta):

„Cały nasz naród musi wystąpić do poważnego, bezwzględnego boju; nasi włościanie muszą dowieść, że są godnymi synami swych przedków, „hajdamaków“. (Żywe oklaski).

Sądzę jednak, moi panowie, że macie już dość tych cytatów, więc nie chcę was więcej nimi nużyć.

Powód, dlaczego radykali ruscy uważali i uważają właśnie obecną chwilę za odpowiednią, ażeby z całą nienawiścią wystąpić przeciw Polakom, spoczywa w kilku momentach, dla nich pomyślnych, w momentach natury częściowo lokalnej, po części państwowej, a po części także międzynarodowej. (Słuchajcie! Słuchajcie!)

Z momentów lokalnych pragnę naprowadzić niektóre tylko, a przedewszystkiem notoryczne osłabianie się wielkiej własności w Galicji wschodniej. Jest to tajemnicą publiczną, że w Galicji połowie, a nawet więcej, niż połowie wszystkich właścicieli grozi licytacja bądź z wolnej ręki, bądź też w drodze egzekucji.

Powtóre, Rusini znajdują potężną dźwignię w swoich duchownych, a także w pewnej części ruskiego świata urzędniczego, zwłaszcza wśród ruskich sędziów. (Tak jest!). Niektórzy sędziowie ruscy zachowywali się tak, jak gdyby poprostu zaciągnęli się do służby w ruskim, narodowym komitecie strejkowym. (Tak jest!).

O jednym z takich biednych, niewinnych, a uciśnionych sędziów wspomniał w rozczulających słowach poseł Romańczuk w swojem przemówieniu. (Wesołość).

P. Daszyński: Uwolniono go!

P. Głąbiński: Przepraszam! Nie uwolniono go. Ten biedny radca sądowy, p. Bociurków, został skazany, jakkolwiek tylko na naganę.

P. Daszyński: Z powodu innych spraw!

P. Głąbiński: A tak, z powodu braku taktu i t. p. Ów p. Bociurków nie chciał mianowicie pozwolić, ażeby chłopi w Lisowcach ugodzili się z dzierżawcą na dziesiąty snop. Żądał on dziwiątego snopa, a kiedy mu... (Zaprzeczenia). Mam tu zeznania świadków, chłopów!

P. Bazyli Jaworki: Tak, tak, to wielka zbrodnia!

P. Głąbiński: Ależ, kochany panie pośle, to nie jest zadaniem miejscowego sędziego! Mam również zeznania świadków, wedle których, przy tej okazji p. Bociurków powoływał się na urzędowy swój charakter sędziego. (Zaprzeczenia). Nawet groził...

P. Bazyli Jaworski: Nie! Tak nie było!

P. Głąbiński: Oczywiście, ja tam nie byłem, ale mam przed sobą zeznania świadków.

Straszył więc chłopów, że jeżeli teraz zgodzą się na snop dziesiąty, to na rok przyszły otrzymają tylko 4 centy wynagrodzenia. W ten sposób usiłował zatrwożyć biednych chłopów, ażeby spowodować ich do żądania dziewiątego snopa.

P. Bazyli Jaworski: A to straszne!

P. Głąbiński: Proszę jednak! To wszakże nie należy do zadań sędziego. Możnaby jeszcze tolerować, gdybyś to pan uczynił, ale nie może sobie na to pozwolić sędzia miejscowy, albowiem nie jest wykluczoną możliwość, iż jemu właśnie przypadnie rola wyrokowania o strejkujących.

W jakiem świetle wystąpi wówczas taki sędzia wobec właściciela, wobec dzierżawcy, a nawet wobec ludu?

P. Eldersch: Panowie macie również sędziów w swojem gronie. W jakiem położeniu znajdują się oni wobec waszych robotników?

P. Głąbiński: Byłeś pan na Podolu? Co pan wiesz o tem?

P. Eldersch: Ale macie panowie także w swem gronie sędziów!

P. Głąbiński: Pan nie masz najmniejszego pojęcia o naszych stosunkach. Nie mieszaj się pan do tego, kochany panie! (Żywe protesty). Niechże nie mieszają się do tej sprawy panowie, którzy albo wcale nie znają stosunków, albo tylko z rozmaitych opowieści i przekręcań, jakie z tych ławek dają się słyszeć.

Moi panowie! Nie chcę cytować nazwisk innych sędziów; nie mam zamiaru tutaj denuncjować, jak wyraził się poseł Daszyński. Ale to fakt, że lud polski w Galicji wschodniej podnosi głośne żale, (jak to np. miało miejsce na polskiem zgromadzeniu ludowem w Samborze), z powodu, że ze strony sędziów ruskich jest traktowany stronniczo i w sposób wzgardliwy. (Śmiechy).

Teroryzm niektórych — nie powiem wszystkich — ale niektórych sędziów rozciąga się nawet na inteligencję, nawet na podwładnych urzędników sądowych polskiej narodowości... (Żywe protesty).

P. Bazyli Jaworski: Każdy urzędnik ruski bywa teroryzowany dlatego, że jest Rusinem! (Hałas. — Prezydent dzwoni).

P. Głąbiński: To nie jest prawdą. (Zaprzeczenia). Rusini są protegowani. Jeżeli się jest Rusinem, ma się większe widoki na awans, aniżeli, gdy się jest Polakiem. (Głośne protesty). Dam panom natychmiast przykład.

P. Bazyli Jaworski: Każdy urzędnik ruski bywa prześladowany! To mówię i to jest prawdą. (Okrzyki posła dra Schalka).

P. Głąbiiński (do p. Schalka): Byłeś pan w Galicji? (Żywe okrzyki i hałas). Pragnę tych panów uspokoić i dlatego przytoczę przykład.

P. Romańczuk: To jest skandaliczne twierdzenie!

P. Głąbiński: To nie należy do rzeczy, ale, skoro panowie sobie życzycie, więc uczynię im zadość. Niedawno temu np. starszy radca sądu krajowego, p. Buczacki, mianowany został radcą dworu tylko z tego względu, że jest Rusinem. Coś około ośmiu polskich radców wyższego sądu krajowego przekroczono, ażeby tylko zamianować Rusina. Jest w tem przecie protegowanie, bo panowie macie tutaj więcej radców

dworu. (Żywe, liczne okrzyki. — Hałas. — Wołanie: A ilu jest prezydentów sądów obwodowych? Nie ma ani jednego Rusina prezydenta!)

Pozwólcie mi jednakże, panowie, powrócić do mego przemówienia. (Ponowny hałas). Janowski w Samborze nie jest Polakiem, a jest prezydentem sądu obwodowego. (Znowu hałas).

Patrzcie, moi panowie, z pomocą Rusinom radykalnym przychodzi ścisły ich sojusz z partją socjalno-demokratyczną, albowiem stronnictwo radykalnych Rusinów ma z tą ostatnią pokrewne cele, albowiem dąży do fantazyjnej Ukrainy bez panów i chłopów.

Po czwarte, agitatorowie ruscy, którzy przeważnie rekrutują się ze sfer ruskich chłopów i duchowieństwa ruskiego, są mistrzami w wyzyskiwaniu nędzy ekonomicznej, nieuświadomienia i politycznej naiwności ludu. Był wszakże wypadek, iż tego rodzaju agitator przybył do wsi w czapce urzędniczej i chłopów... (Protesty).

P. Breiter: Gdzie to było?

O. Głąbiński: Pan wiesz o tem bardzo dobre. W pańskim okręgu był także taki komisarz. sumienie przemawia z pana, mój kochany... w Złe czapce urzędniczej przybył i w imieniu Jego Cesarskiej Mości, Cesarza, wzywał chłopów do strejku, poczem rozkaz punktualnie wykonano. (Protesty).

P. Breiter: Gdzie to było? Jakie nazwiska?

P, Głąbiński: To było w rozmaitych gminach. Proszę bardzo, mam tutaj obfity materjał i mam na to świadków! (Protesty. — wołania: Gdzie to było?). To było w wielu miejscowościach. Jeden przedstawił się nawet, jako komisarz p. Breitera. (Ogromna wesołość).

P. Breiter: Gdzie to było?

P. Głąbiński: Nawoływał nawet do strejku w imieniu posła Breitera. Ale zarządca dóbr miejscowych okazał się jednak sprytniejszym i sprowadził następnego dnia innego agitatora, a ten znowu ogłosił, że pierwotny rozkaz został odwołanym. (Wesołość).

Są to notoryczne fakta, którym panowie nie możecie zaprzeczyć. (Żywe protesy).

P. Breiter: Ja byłem tam sam!

P. Głąbiński: A więc!

P. Breiter: Ale czy pan sądzisz, że przybyłem w czapce urzędniczej? (Żywe protesty).

P. Głąbiński: Wysoka izbo! Opinja publiczna musi pod tym względem być poinformowaną. Mogę i nie zamilczę niczego. Przeciwnie, przytoczę jeszcze szczegóły dalsze! (Protesty).

Moi panowie! Oprócz tych lokalnych mementów, przyszły radykalnej partji ruskiej na pomoc także państwowe i międzynarodowe stosunki. Wiemy, że nasz ustrój państwowy zdaje się być zachwianym, przynajmniej według zdania wielu osób, z powodu narodowościowych waśni i innych agitacyj, których tu bliżej nie chcę poruszać. Rząd nasz jest słaby, nie jest stanowczy, on musi stosownie do okoliczności rokować z najrozmaitszemi, najbardziej skrajnemi partjami, musi nawet z niemi oczkować (Głosy: słuchajcie! słuchajcie!) wskutek czego partje te roją najśmielsze marzenia.

Także międzynarodowe stosunki popierają Rusinów w ich planach. Mają oni bowiem silnego pośredniego sojusznika w rządzie pruskim, w systemie hakatystycznym i w całej prasie hakatystycznej w Niemczech i w Austrji, która rozsiewając nieprawdę, wprost w oczy bijącą, za pomocą przekręcania faktów i przesady umiała usposobić wielką część opinji publicznej przeciw Polakom. (Potakiwania). Wspomniałem już, że przywódca radykalnej partji ruskiej dr. Iwan Franko jest korespondentem wielkich pism wiedeńskich. W tych pismach zamieszcza on rozmaite przekręcone rewelacje o Polakach, ale postępowanie i cele swej własnej partji stara się ukryć w prawdziwie bizantyński sposób. (Brawo! Brawo!).

Głupie, naiwne wytwory fantazji, same oszczerstwa byłego, napędzonego studenta ruskiego, Sembratowycza, który swą karjerę polityczną rozpoczął od tego, że tu w Wiedniu na dworcu ruskiego metropolitę obrzucił zgniłemi jajami. (Głosy: To nie prawda! To jest pomyłka w osobie!)... Ależ przecie został za to ukarany... pojawiają się w pruskiej *Nationalzeitung* i w innych pismach w Niemczech i Austrji, jako rzeczywiste fakty, a na podstawie tych artykułów, bywają stwarzane tysiączne zarzuty i oszczerstwa przeciw Polakom. (Potakiwania).

Pomimo tego w ten sposób rzekomo dobrze przygotowany atak strejkowy przeciw Polakom, główny cel ich komitetu narodowego nie powiódł się, a także w przyszłości nie powiedzie się, chociaż Rusini zgromadzili wielki fundusz strejkowy; musi się on nie powieść głównie z następnjących dwóch przyczyn. Po pierwsze nie zważali Rusini na cyfrową siłę polskiej ludności w Galicji wschodniej, uważając chłopów polskich za zupełnie zrutenizowanych.

Gdy w roku zeszłym ogłosiłem daty urzędowe o ludności polskiej w Galicji wschodniej, prasa ruska obrzuciła mnie najgorszemi obelgami. Podczas strejku przecie znaleźli się polscy chłopi i przyszli swoim rodakom na pomoc, np. u p. Cieleckiego w Hadyńkowcach, ofiarowali swą pracę i rzeczywiście pracowali, ba co więcej, na licznych zgromadzeniach, jak np. w Złoczowie, Samborze itd., oświadczyli swą solidarność z właścicielami większej własności w Galicji wschodniej.

Jak wprost naiwnymi są plany Rusinów radykalnych, dążące do wyparcia Polaków z Galicji wschodniej, niech dowiodą niektóre daty statystyczne. W Galicji według ostatniego spisu ludności mieszka 4 miljony Polaków, a 3,075 000 Rusinów.

P. Romańczuk. 3 090.000!

P. Głąbiński. Nie, tylko 3,075.000, pan masz tylko pobieżną cyfrę po pierwszem zestawieniu, ja zaś mam już cyfry końcowe. (Wesołość.) Zostaw mi już pan to, znam się na cyfrach lepiej, niż pan. 55 procent przypada więc na Polaków, 42 procent na Rusinów.

We wschodniej Galicji mieszka wedle tych wyników 1,618.000 Polaków — stosownie do języka towarzyskiego — a 2 997.000 Rusinów.

P. Romańczuk. Wliczając w to żydów!

P. Głąbiński. Jeśli który żyd przyznaje się do Rusinów, to bardzo dobrze, ale jeśli do Polaków... (Wesołość.)

P. Romańczuk. Niestety nie ma takich!

P. Głąbiński. O! przepraszam — statystyka dowodzi, że w wielu gminach ruskich, n. p. w pow. brodzkim, wielu żydów przyznało się do narodowości ruskiej. Także na naszym uniwersytecie mamy nie wielu, ale zawsze garstkę żydów, którzy podają się za Rusinów i ci są dla was bardzo dobrzy. Zresztą żyd jest równouprawniony i nie jest przecież jakąś fantastyczną ilością. (Potakiwania.) Ale tylu żydów — jak to wy twierdzicie — my nie mamy znów, gdyż podług ostatniego spisu ludności, żyje we wschodniej Galicji 1,136.000 rz. katolików, a mianowicie w galicyjskim rejonie lwowskiego wyższ. sądu kraj. A jak daleko idą niektórzy Rusini? Toż chcą wcielić do wschodniej Galicji jeszcze pięć polskich powiatów, aż do Wisłoka! (Zaprzeczenie.) W tym jednak razie oczywiście ludność polska wschodniej Galicji wynosiłaby z górą 2 miljony. A jakże przedstawia się ludność w poszczególnych powiatach? Chcę streszczać się, chcę jednak zarazem, iżby panowie mieli jakieś wyobrażenie o stosunkach osiedlenia Polaków we wschodn. Galicji. W stołecznym Lwowie mieszka — wedle ostatniego spisu ludności — 77 procent Polaków, 9·6 proc. Rusinów i 13 proc. Niemców. Panowie Rusini twierdzą zawsze, że Lwów jest miastem ruskiem. Otóż, gdyby Polacy tam nic nie znaczyli, to Lwów byłby raczej niemieckiem miastem, aniżeli ruskiem, bo ma w swych murach więcej Niemców, niż Rusinów! Większość polska z 88 procent znajduje się w pow. politycznym Brzozów, 65 pr. w jarosławskim, 48 pr. w lwowskim; dalej w powiatach sądowych; Sanok 57 procent, Rymanów 56 pr., Cieszanów 52 pr., Dubiecko 68 pr., Przemyśl 47·5 pr. To są powiaty we wschodniej Galicji, w których Polacy większość mają. Wszelakoż i w innych powiatach, zwłaszcza w tych przez strejk nawiedzonych, mają Polacy wprawdzie mniejszość, ale nie jakąś nieuchwytną, a to np. w Trembowli 46 procent, w Tarnopolu 44·4 pr., w Skałacie 45 pr, w Husiatynie 42 pr., w Brzeżanach 40 pr., w Buczaczu 40 pr., w Stanisławowie 39 pr., w Zbarażu 36 6 pr., w Czortkowie 36·5 pr., w Przemyślanach 36 5 procent. Z tego już widzicie panowie, że Polacy mają w tych powiatach znaczną mniejszość. I to należy także uwzględnić, że mamy w rękach naszych wyłącznie większą posiadłość ziemską, miasta, przemysł i handel — z których ostatnie, co prawda, są także w rękach żydowskich. We wschodniej Galicji nie ma czysto ruskich powiatów, lecz wszędzie jeno polsko-ruskie, mięszane.

P. Romańczuk. „Turka".

P. Głąbiński. Tam jest 88 procent Rusinów, lecz mimo to nie jest ten powiat czysto ruski. — Drugi i najważniejszy moment, o który rozbić się muszą wszystkie zamachy Rusinów, jest dzisiaj, że oni na to liczyli, iż pozyskają sobie poparcie polskiego stronnictwa ludowego — a to z nienawiści tegoż do Stańczyków — wszelakoż zapoznali widocznie ten moment psychologiczny uczucia narodowego (Potakiwanie.) i zlekceważyli sobie tę niepokonalną potęgę idei narodowej — a zlekceważyli ją sobie dlatego, ponieważ sami nie mają wybitnych tradycyj i idei narodowych. (Potakiwania.)

Zamachy Rusinów to sprawiły, że stronnictwa polskie zbliżyły się ku sobie. I mogę tutaj wyrazić nadzieję, że to zbliżenie już się utrzyma. (Oklaski). I tak oto widzicie mnie tutaj panowie, reprezentanta polskich demokratów narodowych, biorącego bez zastrzeżenia w ochronę interesy wszystkich Polaków we wschodniej Galicji i jestem upoważniony oświadczyć to samo w imieniu opozycyjnego stronnictwa ludowego. (Brawo! Brawo!). Idę dalej jeszcze: My demokraci jesteśmy stanowczo zdecydowani, nasze mienie, a w razie potrzeby i życie nasze ofiarować dla sprawy narodowej we wschodniej Galicji (Brawo!)

P. Romańczuk: „A czyż ona jest zagrożona?"

P. Głąbiński: Skorobyśmy zostali zmuszeni do obrony. Nas nie obchodzą nic a nic pogróżki pańskie, p. pośle Romańczuku! Nie lękam się również zamachów pańskich.

P. Romańczuk: I my się nie boimy waszych zamachów.

P. Głąbiński: My nie planujemy zamachów, my bronimy się tylko! Tak samo nie lękamy się pogróżek organów pańskich, a nie zastraszają nas również tz. poświęcane noże, którymi młodzież ruska przedwcześnie przeciw nam wymachuje, bo wiemy dobrze, że jedna ofiara dla sprawy narodowej we wschodniej Galicji wywoła tysiąckrotny oddźwięk wśród miljonów Polaków i dla tej sprawy naszej tylko pożytek przynieść musi.

P. Daszyński: Oto stosunek obu ludów!

P. Głąbiński: My temu nie winniśmy. To potwierdzą mi także chłopi polscy. Idę dalej jeszcze: Muszę tu oświadczyć, a do tego oświadczenia jestem także przez polskie stronnictwo ludowe umocniony, że polscy demokraci narodowi, tak samo, jak inne stronnictwa polskie, odpierają z oburzeniem wszelkie zamachy na jedność kraju. (Żywe oklaski). Nie dopuścimy do nowego rozkawałkowania naszego narodowego organizmu! (Żywe oklaski). Przeciw waszym zakusom my potrafimy się obronić! (Żywe oklaski). Przedstawiłem tutaj panom prawdziwy obraz stosunków naszych, jakkolwiek wiem, że wielu pomiędzy wami, nie znających wcale stosunków naszych, posądzić mnie gotowi w swym duchu o przesadę. Będą mniemali, że widzę i maluję zbyt czarno.

P. Romańczuk: Zgódźcie się na mój wniosek, a wtedy panowie tutaj przekonają się sami!

P. Głąbiński: Zgodzimy się z pewnością na wniosek, ale nie na ten, którego pan sobie życzy! (Wesołość i potakiwanie). Jestem wprawdzie raczej optymistycznie, aniżeli pesymistycznie usposobiony, nie mniej przeto, widzę iż czarne chmury nadciągają ponad nieszczęsny nasz kraj, ponieważ kierownictwo stronnictwa ruskiego wymknęło się rozważnym głowom — a także p. Romańczukowi — i jak to przyznają wszystkie umiarkowane stronnictwa, a także ks. metropolita w ostatnim swym pasterskim liście, kierownictwo to dostało się w ręce młodzieży akademickiej, zapaleńców politycznych. Tych zapaleńców nazywają Rusini pajdokratami, oni sami zaś nazywają się hajdamakami, na wzór tych osławionych bohaterów z końca XVIII. w., zdaje im się bowiem, że są prawowitymi spadkobiercami dzikiej natury i krwiożerczości hajdamaków!

Ubóstwiają smutnych bohaterów tych hajdamaków, takiego Gontę i Żeleźniaka, opiewają straszliwą rzeź, zgotowaną przez tych wrzekomych bohaterów w Humaniu, gdzie 20—40.000 mieszkańców, bez różnicy płci i stanu, wraz z dziećmi i kobietami wyrznięto, kobiety gwałcono i wszystko w perzynę obrócono.

P. Romańczuk: A z czyjej to winy?

P. Głąbiński. Wnet powiem to panu... Moi panowie! Teraz należy postawić tutaj pytanie, w czem tkwi to zdziczenie części młodzieży ruskiej? Sąd mój wypowiem krótko. Zdaniem mojem tkwi ono w jednostronnej, nowoczesnej literaturze ruskiej, jak również w jednostronnej tradycji narodowej Rusinów. Jak wiadomo sejm galicyjski założył nietylko 2000 ruskich szkół ludowych.

P. Romańczuk: 578!

P. Głąbiński: ...nie, te szkoły djakowskie, na które się pan powołujesz, już nie istnieją. Wszędzie, gdzie tylko znajduje się budynek i nauczyciel, zakłada się także szkoły. Gdzie nie ma nauczyciela, tam trudno oczywiście to uczynić. Najlepszym tego dowodem jest chyba fakt, że bez porównania więcej szkół zostało zorganizowanych, aniżeli do życia powołanych, ponieważ nie mamy dla nich nauczycieli ruskich. Oprócz tego podjął sejm galicyjski inicjatywę do tworzenia ruskich szkół średnich, gimnazjów. Lecz przy tej sposobności zarówno sejm krajowy, jak kraj. rada szkolna i wysoki rząd dopuściły się grubego przeoczenia, mianowicie nie zważały na to, że nowoczesna literatura ruska nie zapewnia dostatecznej i stosownej podstawy i karmy dla dorastającej młodzieży i brakowi temu nie zaradzono wcześnie przez tłómaczenie arcydzieł literatury europejskich narodów oświeconych. W ten sposób młodzież ruska skazana jest tylko na twory swej współczesnej literatury, a skutkiem tego znów jej wychowanie duchowe szło w jednym tylko kierunku. Muszę w tem miejscu zastrzedz się przeciw ewentualnej insynuacji, jakobym chciał tymi słowy ubliżać narodowi ruskiemu, lub literaturze ruskiej w ogóle. Lecz w tę kwestję literatury ruskiej trzeba raz wnieść nieco światła. Bo ma to istotnie pozory, jak gdybyśmy w tak ważnej, kulturalnej kwestji w „ślepą babkę" grali. Toż niedawno temu p. Daszyński twierdził tutaj, że literatura ruska liczy dopiero 50 lat żywota...

P. Daszyński: W Galicji!

P. Głąbiński; ...a na protest ze strony Rusinów, poprawił się, zauważając: „O! ja wiem, literatura ruska jest wspaniała — tylko, że nie drukowaną w Galicji." Z drugiej jednak strony mogę wskazać na inne głosy... Mam oto czasopismo ruskie, pisane w narzeczu napół rosyjskiem pt. „Żywaja myśl", gdzie autor artykułu p. Sawczak, wyraża znów twierdzenie, że nowoczesna literatura ruska rozpoczyna się dopiero od p. posła Barwińskiego. (Żywa wesołość).

P. Romańczuk: Przytaczasz pan pismo pismo rosyjskie!

P. Głąbiński: Wiem sam, że to nieprawda, chcę jednak wyświetlić sprawę. Rzeczcy autor mówi, iż p. Barwiński otrzymał był wyłączny patent na fabrykację — jak się wyraża — ruskich książek szkolnych i że w jego tylu książkach spotkać można więcej jak cztery rozmaite ortografje.

P. Romańczuk: Że też pan takie plotki tutaj wyprowadza. Jako profesor uniwersytetu!

P. Głąbiński: Jako profesor mówię to, bo to nie prawda! Już ja to panu wytłumaczę, bo ja znam ruską literaturę bardzo dobrze.

P. Romańczuk: Ale to są plotki!

P. Głąbiński: Właśnie wskazuję na to, że w tej mierze panują przeróżne błędne mniemania. Dalej jest rzeczą notoryczną, że pierwszy profesor ruskiego języka i literatury we Lwowie w r. 1848, Głowacki, wykładał aż do roku 1867 po rosyjsku,..

P. Romańczuk: Nie!

P. Głąbiński: ...w którym to roku został z urzędu swego usunięty, poczem w Rosji, w Wilnie, zamianowano go prezydentem archeograficznej komisji.

I jakżeż to jest właściwie z tą literaturą ruską? Proszę posłuchać. Nie chcę przeczyć, że Rusini — dzięki swej starosławiańskiej-cerkwi — mieli literaturę już w tych stuleciach, kiedy my Polacy nie mieliśmy jeszcze swojej. (Głos: A zatem!) Rusini mogą z dumą powoływać się na taki rapsod, jak: „Wyprawa ks. Igora na Połowców", lub zbiór ustaw Jarosława „Prawda ruska", lub na kronikę Nestora i na inne do tej kroniki wiążące się annały, które aż do XVI w. sięgają. Na to powołują się wprawdzie nietylko Małorusini, ale także Rosjanie, jako na dumę swoją — lecz to nie wpływa wcale na rzecz samą.

Nieprawdą jest także, co p. poseł Daszyński — ulotnił się już stąd, niestety — twierdził tutaj, że Rusini nie mają książek, drukowanych w Galicji, względnie w Polsce. To nie jest prawdą. Właśnie w Polsce, w Krakowie, wydane zostały w latach 1490 i 1491 obszerne książki liturgiczne, a to przez niejakiego Fiola, a kodeks polski króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, później słynny polsko-litewski kodeks z początku XVI w. napisane i wydane zostały przecież w ruskim języku. (Bardzo słusznie.). Wogóle w Rosji wydano bez porównania mniej książek ruskich w druku, aniżeli u nas. Pierwsza książka rosyjska w stolicy, Moskwie, pojawiła się w druku dopiero w roku 1564.

P. Romańczuk: Lecz i poza Moskwą ukazywały się książki: w Ostrowie, w Kijowie i t. d.

P. Głąbiński: Więcej książek ruskich wyszło w ziemiach polskich, jak rosyjskich. Masz pan przecież książki, które szczegółowo rozprawiają o tem.

Wszelakoż — panowie — wszyscy mowcy, którzy potrącali o tę kwestję literatury, pominęli jeden zasadniczy moment, mianowicie, iż nieszczęsny punkt zwrotny w rozwoju literatury ruskiej tkwi w XVII i XVIII w. Skutkiem wzrostu i rozwoju potężnego caratu, wielu prawosławnych Rusinów zwróciło się ku rosyjskiemu językowi i literaturze i w niej zwolna utonęli — podczas gdy z drugiej strony Rusini unici, polonofile, przymknęli więcej do polskiego języka i literatury, tak, że w pierwszej połowie XVIII w. historyk Bazyljanin Stebelski pisał po polsku. I doszło było do tego, że nawet ruscy kaznodzieje kazali u nas, aż gdzieś głęboko w w. XIX, w polskim języku. Z tego powodu nowoczesna literatura ruska straciła swe punkty styczne ze starą literaturą i dlatego dziś muszą Rusini rozpocząć budowę od fundamentów, stworzyć nową ortografję, nową terminologję i t. d. Drogę w tej mierze torował już na początku XIX w. taki Kotlarewski

P. Romańczuk: Na schyłku XVIII w.

P. Głąbiński: ...i jego następcy, a także słynny poeta ruski Taras Szewczeńko, który w latach 30-tych i 40-tych ubiegłego wieku wydawał dzieła swoje i który swym talentem i wpływem przewyższa wszystkich późniejszych poetów ruskich, gdyż głosił ze zbolałej duszy ruskiego chłopa. Ten poeta jest dziś wśród Rusinów, a zwłaszcza wśród młodzieży ruskiej, najbardziej wpływowym pisarzem. Jako zjawisko historyczne, należy go też bezwarunkowo wysoko cenić. Musimy jednak zważyć, że mówił z duszy poddanego chłopa, bo sam był dłuższy czas takim poddanym. Co do tej pańszczyzny w Polsce, to nie była ona zbyt łagodną, acz łagodniejszą, niż w Rosji i łagodniejszą, niż w niektórych krajach niemieckich, n. p. w Westwalji i Meklemburgu — co stwierdzają wszyscy historycy niemieccy, n. p. Jerzy Hansen, Fuchs i współczesny Hollsche — ale z tem wszystkiem ona była.

Otóż Szewczeńko oddechał historycznie uzasadnionem zupełnie rozgoryczeniem przeciw panom polskim — jakkolwiek żył już pod panowaniem rosyjskiem — i tak samo oddechają tem rozgoryczeniem przeciw Polakom dzieła jego po większej części, zwłaszcza zaś najwpływowsze jego poematy, jak „Noc Tarasa", a więcej jeszcze „Hajdamaki". W tych poezjach apostołuje on formalną nienawiść, pragnienie zemsty przeciw Panom polskim, przeciw Polakom i przeciw rzym. katol. kościelowi. Święcone noże na Polaków — oto hasło, przewijające się przez całą książkę! Bohaterowie hajdamaccy, Gonta i Żeleźniak są gloryfikowani i dochodzi do tego, że według hasła bohaterów Szewczeńki, wszyscy Polacy i wszyscy katolicy mają być wraz z całem swem potomstwem wygubieni, aby nie zostało nasienie do dalszego rozrodzenia się tego szczepu.

P. Romańczuk: Czytałeś pan to może w polskiem tłumaczeniu?

P. Głąbiński: Nie — mam tutaj „Hajdamaków" w oryginale i z ilustracjami.

Moi Panowie! Przytoczę panom zaraz jeden ustęp z tych „Hajdamaków".

P. Romańczuk: Czytałeś pan ten książkę w polskim języku?

P. Głąbiński: Nie, w ruskim, przetłómaczono to także na polski, ale niedokładnie. Otóż bohaterem poematu jest Gonta, który zdradą wydał Humań Żeleźniakowi na pastwę i który własnemi rękami ukochane dzieci swoje zakłuł, dlatego, że były katolikami, że żona jego Polką była. Biedne chłopięta błagały go: „Nie rznij nas — my będziemy także rznąć Polaków!" — „Nie!" — woła Gonta — „to nasienie musi być wygubione!"... — I zakłuł swych synów.

No! ja moi panowie — cenię Szewczeńkę wysoko — powiedziałem już to, nie chcę wcale mu uwłaczać, ale jego dzieła są dzisiaj najważniejszym pokarmem duchowym młodzieży ruskiej. Dzieło to wydaje się w tysiącach egzemplarzy, rozszerza w edycjach rozlicznych, na koncertach i rozmaitych innych uroczystościach ruskich, deklamacje z tych dzieł stanowią główną rolę, nawet ruskie kartki widokowe sporządzają wedle tego wzoru. Oto np. macie panowie tego Gontę, który dzieci swoje zakłuł, a tu macie rozmaite inne takież kartki. (Mowca pokazuje kilkanaście kartek widokowych).

I to potem staje się pokostem całej nowożytnej literatury ruskiej, stanowiącej pokarm duchowy tej młodzieży. I inne twory tej literatury i jej organa publicystyczne, niektóre cytały w tej mierze podałem już — i inne książki nie są wolne od tego pokostu. Co więcej, odważam się twierdzić — znam bowiem taką książkę — nawet dzieła naukowe, wydawane przez towarzystwo im. Szewczenki we Lwowie, nie są wolne od takiej politycznej tendencji, o co się starają i czego rękojmię dają same już nazwiska koryfeuszów tego zasłużonego towarzystwa, mianowicie dra Iwana Franki i prof. Buczewskiego.

Moi panowie! Nie chcę dłużej rozwodzić się nad tą sprawą, muszę jednak skonstatować, że wogóle młodzież ruska, a przynajmniej większość tej młodzieży, obecnie oddaje się więcej polityce, aniżeli nauce i to nietylko akademicka, (Zaprzeczenia) — lecz także gimnazjalna. Niebezpieczeństwa takiego wychowania duchowego nie dają się czuć tylko w naszej Galicji, objawiają się one wszędzie i w innych krajach, gdzie jeno młodzi radykali ruscy znajdą sposobność do działalności politycznej.

P. Romańczuk: A co robią polscy studenci?

P. Głąbiński: Teraz nie mówimy o polskich studentach, zresztą ci są bez porównania lepsi. Polskim studentom nie możesz pan chyba niczego zarzucić. U nas są jednostki takie, a tam większość! I zagranicą okazują się Rusini tacy sami. Mogę tutaj np. wskazać na fakt notoryczny, o którym niedawno temu pisały gazety, że mianowicie 6 ruskich kleryków, wychowanków gr. katol. seminarjum we Lwowie, udało się było do Ameryki, aby tam wśród chłopów ruskich wykonywać duszpasterstwo. I ci ludzie wyparli się w Ameryce Boga i swej religji. Niektórzy z nich wprowadzili natomiast kult Szewczenki z tegoż wizerunkami i psalmami.

P. Romańczuk: I u Polaków są podobne zjawiska.

P. Głąbiński: Nie! — a to byli wychowankowie waszego seminarjum.

P. Romańczuk: Nie znasz pan kilku księży polskich w Ameryce? A biskup Kozłowski?

P. Głąbiński: Ależ, miły panie — ten nie był przecie do Ameryki wysłany, aby wśród biednych chłopów sprawować duszpasterstwo, jak tych 6 kleryków! Moi panowie! Powiem tu krótko, aby skonstatować, że oto nienawiść przeciw Polakom i rzymsko-katol. kościołowi, pragnienie zemsty, bezwzględność polityczna, społeczna i narodowa, są głównymi motywami panującej literatury ruskiej i duchowego ich wychowania!

P. Romańczuk: Bogaty materjał podajesz pan do tego!

P. Głąbiński: Tak, ja mam taki materjał... Rozwinąłem w ten sposób tutaj ponury obraz stosunków naszych, przyczyn i zjawisk, towarzyszących strejkom wschodniogalicyjskim i nie chcę sam wysnuwać wniosku, czy te stronnictwa i ci panowie, którzy właśnie sprowadzili na ten kraj biedny tak okrutne nieszczęście, mają w tem rację, jeśli ponadto jeszcze usiłują tutaj, w tej wysokiej izbie, kuć z tego kapitał dla siebie (Brawo! brawo!) i wygłaszają przeciw nam pogróżki! (Oklaski). Na każdy jednak sposób pewną jest rzeczą, że opłakane stosunki Galicji sięgają swym korzeniem nietylko w głąb tej narodowej i politycznej „Sturm und Drangperiode", lecz także tej nędzy ekonomicznej kraju. I dlatego nie mogę zakończyć, aby nie zwrócić się wpierw z gorącym apelem do wszystkich stronnictw tej wysokiej izby i do wys. rządu: Bądźcie nam pomocni w naszych usiłowaniach, aby podźwignąć ekonomiczne stosunki tego kraju! (Brawo! Brawo!) Nie bądźcie tak bez serca i małoduszni, aby starać się o stratę rynków zbytu w Galicji dla przemysłu austrjackiego. (Brawo!) Bo nie powinniście zapoznawać, że podniesiony dobrobyt Galicji wzmógłby w niej popyt kupiecielski we wielu kierunkach (żywe potakiwania) i że wedle mego zapatrywania, rola przemysłu austrjackiego w tem właśnie leży, że on zbyt trwożliwie czepia się targów wewnętrznych, zamiast puścić się w świat szeroki, aby się nie dał odepchnąć innym narodom. (Żywe oklaski. — Mowcy gratulują).

Skarb sułtana.

Wobec ciągłych skarg rządu tureckiego na niedobory, nie będzie od rzeczy zapoznać się z zawartością skarbca sułtańskiego, który w ten sposób opisuje pewien przebywający w Konstantynopolu Niemiec:

„O ogromie skarbów, przechowywanych w skarbcu sułtańskim w Toj-Kapu-Serail nie można mieć wyobrażenia, nawet obejrzawszy wszystkie skarbce panujących europejskich. Skarby te stanowią głównie nieprawdopodobne wielkie ilości klejnotowych ozdób złotych i drogocennej broni. Gdyby to wszystko sprzedano, to siódma część uzyskanej sumy wystarczyłaby na pokrycie wszystkich długów tureckich. Skarby „niebieskiej sali" w Dreźnie, klejnoty, przechowywane w skarbcu wiedeńskim, są drobnostką w porównaniu ze skarbami sultana.

Drogą, wysadzoną drzewami, dochodzimy do bramy szczęścia, Babi Seadet, za którą znajduje się Serail. Długa kolumnada łączy tę bramę z kioskiem przyjęć, od którego na prawo znajduje się skarbiec. Najsłynniejszą i największą ze wszystkich sal ogromego gmachu jest „sala szlachetnej odzieży." Znajduje się w niej płaszcz, szabla, łuk i kubek wielkiego Proroka, zbroja pierwszego kalifa i święta chorągiew (sandżak-szerif). Tylko raz na rok otwierają salę. Dnia 15 Ramazana przybywa tu sułtan i ucałowawszy płaszcz proroka, macza jeden jego koniec w wodzie, którą następnie rozdziela między zebranych. Niewiernemu spojrzenie na ten płaszcz jest tak samo zabronione, jak przystęp do Kaaby.

Do innych sal przy sprzyjających okolicznościach można się dostać. Wchodzimy. Wielki skarbnik zdjął wielką pieczęć. Klucznik Anachtar Bassi, otwiera podwoje. Idziemy wśród szpaleru, który utworzyła służba pałacowa i paziowie. Sale są małe, wąskie i nieregularne, jak wszędzie wewnątrz Serailu. Nie wyglądają wcale na skarbiec. Jednak muszą tak pozostać jak są, ponieważ Turcy twierdzą, że ostatnie lata życia spędził w nich ostatni cesarz grecki, dzielny i nieszczęśliwy Konstantyn Paleolog.

Wkrótce jednak w panującem dokoła półświetle zaczynają połyskiwać kosztowności.

W pierwszym pokoju, do któregośmy weszli, przykuwa naszą uwagę przedewszystkiem krzesło tronowe. Jest ono niskie, ale całe zrobione jest ze złota i obsypane drogimi kamieniami. Rubiny i szmaragdy są oddzielone od siebie tylko wąskimi paskami złotej oprawy. Jest to jedna z najmniej znanych w Europie kosztowności. W 1873 r. można ją było oglądać na wystawie wiedeńskiej, na której tron ceniono na 4 miljony guldenów. Niegdyś był on własnością perskiego sułtana Izmaila, założyciela dynastji Sefidów. Sułtan Selim zdobył go podczas jednej ze swoich licznych wypraw przeciw Persji.

W dalszych pokojach w szklanych szafach, ustawionych rzędem pod ścianami, lśnią nieprzeliczone i wprost urągające wszelkiej cenie klejnoty. Złote, wysadzane rubinami tureckie kałamarze, obsypane brylantami cybuchy. Agrafy do turbanów, przedstawiające wartość 6 tysięcy, wielkie złote czary, wypełnione djamentami, szmaragdami, perłami, rubinami, co najmniej wielkości orzecha laskowego, achatowe berła, zastawy stołowe szczerozłote, garnitury do kawy złote matowe, obsypane turkusami i koralami i t. p. Przedewszystkiem wpadają w oczy dwa ogromne szmaragdy — największe ze wszystkich, jakie istnieją. Jeden z nich prawie okrągły i mierzy w średnicy 8 centimetrów, drugi jajowaty jest 22 centimetrów długi, a 9 szeroki. Z pierwszego chciał w swoim czasie sułtan Abdul Azis mieć tabkierkę. Ledwie zdołano mu wytłómaczyć szkodę, jakąby poniósł, każąc drążyć tego rodzaju klejnot.

Dokoła sal biegną galerje pod powałą, z których zwieszają się kosztowne zbroje, miecze, muszkiety, dzidy, buńczuki i t. p. W drugiej sali na galerjach wiszą stroje sułtańskie. Wśród nich zwracają uwagę olbrzymie nieraz złotem haftowane turbany, spinane agrafami i ozdobione pękami piór strusich. Jak w pierwszej sali znajduje się największy ze znanych szmaragdów, tak w drugiej przechowują największą perlę ze wszystkich, jakie ktokolwiek posiada. Co do wielkości podobna jest do gęsiego jaja, w kształcie jest nieco nieregularna. W tej samej sali znajdują się drogocenne wyroby z kości słoniowej, prześliczne emalje i starożytne przyrządy astronomiczne. Niesłychany podziw budzi słoń odlany z czystego złota, przedstawiający wartość kilkunastu miljonów rubli. Trąba słonia wysadzona jest perłami, wielkości gołębich jaj. Równie nieocenioną jest złota masywna kołyska, tak wielka, żeby się w niej pięć małych potomków sułtana mogło wygodnie kołysać.

Także trzecia sala zawiera mnóstwo nieznanych kosztowności, ale nie chcąc nużyć czytelników ich wyliczaniem, wspomnę tylko o

kolczudze wielkiego Aleksandra i niezwykłych odznakach wezyrów, kutych w złocie w kształcie klinów. O ogromie bogactw w skarbcu sułtańskim można nabrać pojęcia z tego faktu, że w czwartej sali dywanów, mieści się kilkanaście makat, plecionych z nitek szczerozłotych i wysadzanych perlami w prześliczne wzory. Na każdą z nich użyto po kilkanaście tysięcy pereł.

Wschód i Zachód, Północ i Południe, musiały niegdyś składać wielkiemu mocarzowi daniny. Zdobycze i łupy z niezliczonych wypraw wojennych nagromadzono w tym skarbcu. Każdy przedmiot ma tu swoją historję, której jednak nikomu nie opowiadają. Na każdym prawie klejnocie ciąży krew jego obrońców i przekleństwa obrabowanych.

Mały fejleton.

Rozmaite, niby oryginalne sposoby miłości.

Artykuł niniejszy przeznaczam na użytek dziewic, które jeszcze nie zdecydowały wyboru przyszłego towarzysza życia lub też dały słowo jednemu z młodych ludzi, lecz wahają się i pragnęłyby słowo udzielone — cofnąć.

Jak wiadomo, wszystkie przedmioty, istniejące na tym świecie, wiedza i doświadczenie ludzkie, umiały rozgatunkować i każdemu z tychże nadać stopniowanie zależne od jakości.

Tak naprzykład, wiemy, że wino dzieli się na gatunki: wytrawnego, łagodnego lub słodkiego, że bruk uliczny może być gładkim lub nierównym. Przeciętna gospodyni odróżni śledzia „szota“ od „ulika,“ „pocztowego,“ „królewskiego“ i t. d. i t. d.

Tylko miłość dotąd jeszcze nie posiada odwiednich cieniowań i nie została należycie podzieloną na gatunki.

Słowniki uczuć ludzkich mówią wprawdzie o „miłości macierzyńskiej,“ „miłości prawdy,“ „miłości bliźniego“ i t. p., to jednak do rzeczy nie należy.

Mnie idzie dzisiaj o miłość narzeczonego dla narzeczonej, lecz źle powiedziałem: o miłość, jaką przyszły małżonek ma uczuwać dla swojej małżonki.

Największą wadą ustroju stosunków poprzedzających śluby małżeńskie, jest to, że każdy z kandydatów o rękę panny, przedstawia się jako wynalazca zupełnie nowego rodzaju miłości.

— Tak, jak ja kocham, nikt jeszcze przedemną nie kochał! — zapewnia młody fanfaron przy oświadczynach, nie dbając, że wszyscy oświadczający się przed nim, począwszy od pierwszych chwil istnienia świata, również podawali się za wynalazców nowego systemu, czy sposobu kochania.

Uprzedzam przeto młode osoby, aby nie dawały brać się na lep tych zapewnień gołosłownych i nie dawały im wiary, aż pseudowynalazca przedstawi dokument oryginalny.

Mam albowiem pewne prawa przypuszczać, iż rola młodych mężczyzn w danym razie jest nieprawną i fałszywą.

Wszyscy oni obiecują „miłość, jakiej przedtem nie było“, w rezultacie zaś okazuje się, że jest ona taką samą, jaką wszyscy przeciętni małżonkowie uczuwają dla żon. Zasadza się ona przedewszystkiem na wymaganiach obiadu w godzinie stale określonej i kończy na wycieczkach wieczornych samopas do klubów i kasyn, w których bywa uprawianą gra karciana.

Prawie też wszyscy konkurenci obiecują młodej damie rzeczy tak dalece nieprawdopobne i niemożliwe do urzeczystnienia, jak: 1 przychylenie nieba, 2. zbieranie gwiazd z błękitu i 3. zaścielanie drogi życia kwiatami.

Dziwi mnie tylko naiwna łatwowierność panien, które podobne, pełne złej woli majaczenia, przyjmują za dobrą monetę.

Ale prawda; dziewice zarumienione podczas wysłuchiwania oświadczyn, w przeważnej liczbie wypadków mówią zupełnie serjo:

— Z panem, zgadzam się, chociażbym nie miała przez całe życie nic więcej, oprócz kęsa suchego chleba!

A ponieważ młodzież daje tego rodzaju oznajmieniom wiarę, ośmielam się twierdzić, że znaczna liczba zawieranych związków małżeńskich, wykwita z wzajemnego oszustwa.

Lecz hola! Któż to ośmiela się występować z zarzutami, przeciwko przedstawicielkom płci ubóstwianej przez poetów, nie wyłączając i żonatych?

To odbiega zresztą od naszego planu.

Pragnąłem wystąpić dzisiaj w roli ducha opiekuńczego dziewic, które zbyt literalnie rozumieją przysięgi, składane u ich stóp przez mężczyzn zakochanych.

Znałem osobiście pomocnika maszynisty kolei żelaznej. Ten również bałamucił głowę swojej bogdanki zapewnieniem:

— Miljony przedemną kochały, lecz była to fuszerka, a nie miłość!

I cóż pokazał po ślubie? Oto umyślnie opóźniał przybycie pociągu, a strofowany przez żonę dopuszczał się popisów z przerzucaniem rozmaitych przedmiotów z miejsca na miejsce, a pomiędzy innemi lamp, szczotek do zamiatania i innych.

Z pomocą wywodów powyższych, nie chciałbym podmawiać młodych dam do staropanieństwa.

Pragnąłem tylko przekonać je, że opowiadania o wynalezieniu nowych objawów miłości, są przechwałkami czczemi i nieopartemi na gruncie poważnym. Zresztą, niechaj się przekonają same.

Paryscy maniacy.

Nie o zbieraczach dzieł sztuki chcemy dziś opowiedzieć, lecz o dziwakach, oryginałach, którzy przez całe życie wszystko co posiadają, łożą na gromadzenie jakichś osobliwości. W Paryżu możnaby ich liczyć na legjony. Niektórzy przez swą manję stali się głośnymi.

W latach czterdziestych mieszkał przy rue d'Enfer niejaki hrabia Rudde, który zbierał stare, albo historyczne fajki. Szczycił się, że posiada fajki: marszałka Bluechera, sławnego admirała holenderskiego Ruytera i G. T. A. Hofmana, autora słynnych powieści fantastycznych.

Gorączka szperania za osobliwościami odnosi się do najrozmaitszych przedmiotów. Lablache i Lenoir zbierali przez całe życie tabakierki historyczne, szpady i pałasze; historyk Thierry bilety wizytowe, co też czyni obecnie p. Paweł Deschanel, b. prezes izby poselskiej.

Niezwykłą manją odznaczali się dwaj panowie z towarzystwa. Książę R. zbierał meszty i pantofelki swoich przyjaciółek. Cierpliwością swą doprowadził do tego, że w końcu nagromadziło się tyle tych pamiątek, iż można z nich było utworzyć magazyn szewski. Jeszcze większym dziwakiem był baron de Martens; zbierał on paski damskie; na jednym z nich się w końcu powiesił...

Na setki można dziś liczyć w Paryżu zbieraczy lasek, parasolek, deszczochronów, oraz afiszów. Niejaki Djardin-Salleron zbiera — flaszki! P. de Rollières programy zabaw, koncertów. Edmud Taigny gromadzi guziki chińskie. Paweł Leroux najmniejsze drobnostki odnoszące się do Napoleona I-go. P. Girardin zbiera teraźniejsze fajki i cygarniczki. Śpiewaczka koncertowa, Anna Thibaud ma kolekcję dzwonków pokojowych, a pisarz Lucien Descaves tak zw. *images d'Epinal*.

Cenne zbiory półmisków i talerzy pozostawił zmarły pierwszy skrzypek tutejszej Opery Charles Sauvageot. Żył on skromnie jak djurniste, natomiast jego zbiory porcelany przedstawiały wartość powyżej miljona. Niekiedy ten lub ów z jego przyjaciół pozwalał sobie na żarty; mianowicie wkradał się potajemnie do jego pracowni, a gdy Sauvageot był zajęty przy biórku, żartowniś rzucał na ziemię pół tuzina talerzy, które miał ukryte pod płaszczem. Talerze tłukły się w drobne kawałki, a skrzypek, sądząc, że to jakieś nieszczęście w jego sali ze zbiorami, odchodził od zmysłów z żalu.

Bezmyślnym maniakiem był notarjusz Boulard. Zakupywał on tysiącami stare książki, układał je w stosy, bez żadnego porządku, a nabywał książki na... metry. Za metr książek — 20 franków. Naturalnie, że antykwarjusze robili na tem świetne interesy. Zapełniał on książkami wszystkie pokoje i piwnice; każdy kąt strychu był zapchany staremi książkami, najczęściej nie mającemi żadnej wartości. Boulard posiadał ni mniej, ni więcej, tylko 300 000 książek. Z tych przeczytał w swem życiu zaledwie — pięćdziesiąt. Bibljoteka tych starych rupieci po śmierci oryginała poszła rzecz jasna — w ogień.

Porządnie „ubrano“ zbieracza starych rękopisów i sprzętów, Michala Chaslera. Słynny podrabiacz i bandlarz starożytności, Brain Lucas sprzedał Chaslerowi za bajeczną sumę rękopisy Aleksandra Wielkiego, Kleopatry, Juljusza Cezara, Vercingetoryksa i innych bohaterów starożytności. Okazało się, że pisma owe były najprostszymi w świecie falsyfikatami. Przykre to odkrycie nie wyleczyło jednak zawziętego zbieracza z jego manji.

Pewnego razu ujrzał u jakiegoś przekupnia garnek z napisem M. J. D. D. Chasler zakupił naczynie, jako antyk starorzymski. Począł odcyfrowywać inicjały i doszedł do przekonania, że owe cztery litery są początkowemi literami słów: *Magno Jovi Deorum Deo* (wielkiemu Jowiszowi bogu bogów). Pyszny ze swego niepospolitego znawstwa, pokazuje „antyk“ jednemu z przyjaciół, a ten zapytuje: „Czyś ty oszalał?“ Dla wyjaśnienia wydobywa z kredensu wielki słój z napisem M. J. D. D. i naklejoną etykietą fabryczną: *Moutarde Jaune De Dijon* (Musztarda żółta z Dijon). Niedyskretna służba rozniosła gadkę po mieście i nazajutrz „cały Paryż“ śmiał się do rozpuku z niemiłosiernego figla, jakiego ofiarą padł niepoprawny zbieracz.

Wspomnieć też należy o pewnym oryginale, który gromadzi stare podkowy. Ma ich już nieborak 2.000 i zbiera je dalej bezustannie.

Sara Bernhardt w Berlinie.

Słynna tragiczka francuska Sara Bernhardt, uchodząca za nieprzejednaną nieprzyjaciółkę Prusaków, zdecydowała się przybyć do Berlina i wystąpiła w poniedziałek dnia 27 z. m. po raz pierwszy „w Teodorze“. Przyjęcie z początku chłodne, zmieniło się pod koniec widowiska w entuzjazm. Krytyka nie szczędzi jej pochwał za mistrzowską grę w pierwszych aktach, ale też podkreśla gonienie za efektami teatralnymi w aktach ostatnich.

Po za krytyką zasługuje na uwagę powitanie Sary przez A. Holzbocka w berlińskim *Local Anz.* Oto kilka wyjątków: „Sara Bernhardt wystąpiła po raz pierwszy w teatrze dworskim w Berlinie, — Alzacja zaś i Lotaryngja są jeszcze niemieckiemi i pozostaną niemi na zawsze. Sara dostąpiła zaszczytu módz ukazać się na scenie cesarza niemieckiego, — jest to fakt, który ponownie cechuje międzynarodową kurtuazję monarchy.

Dalej znajdujemy następujące zestawienie wypadków: „Niegdyś mogła Sara Bernhardt pozwolić sobie skompromitować w Kopenhadze posła niemieckiego w taki sposób, że musiał opuścić swoje stanowisko, a dziś przyszły władca kraju, w którym się to stało, jest miłym gościem cesarza niemieckiego. Niegdyś Saint-Saëns wypowiedział wojnę muzyce niemieckiej, a gdy koncertował w Filharmonji berlińskiej, powitano go sykaniem; dziś Saint Saëns, posiada jeden z najwyższych orderów pruskich.

Niegdyś wymyślano w Paryżu tym, którzy poszli na pierwsze przedstawienie „Lohengrina“, — dziś Wagner jest we Francji tak popularnym, jakby był najmodniejszym z kompozytorów. Tak się zmieniają stosunki i opinje w świecie i dlatego też występy Sary Bernhardt w Berlinie, pomimo dawniejszych jej tendencyj politycznych, są tylko wielce interesującym wypadkiem teatralnym, niczem więcej“.

Rusini i polityka pruska wobec Rosji.

Wielkie wrażenie wywarła w całej prasie słowiańskiej treść rozmowy, jaką rzekomo pewien polityk polski miał z wysokim urzędnikiem pruskim. Interwiew ten podają czeskie *Narodni Listy*. Według słów owego urzędnika rząd pruski nadal będzie dążył do germanizacji Polaków, ponieważ Niemcy nie zrzekną się nigdy ziem polskich, przeciwnie, dążyć muszą do zabrania dalszych krajów polskich, gdy granice obecne okażą się ciasnemi. Miał być kiedyś czas, że w Prusach noszono się z myślą użycia Polaków jako taranu przeciw Słowiańszczyźnie, ale czas ten minął, bo Niemcy przekonali się, że w narodzie polskim nigdy szczerego poparcia i zaufania nie znajdą.

Dalej polityk niemiecki tak wywodził: Ani Rosja, ani panslawizm groźnym dla nas nie jest, bo Rosja omotana przez nas tysiącem nici, których nie jest w stanie zerwać. Francja nie będzie współzawodniczyła z nami, bo nigdy nie zdobędzie sobie takich wpływów w Rosji, jakie my tam posiadamy od dawna. My, Niemcy, trzymamy w ręku przemysł rosyjski, finanse rosyjskie, nasi ludzie są wszędzie, począwszy od granic pruskich do Władywostoku i granic chińskich, a chociaż wyższe sfery pragną się z pod naszych wpływów wyemancypować, niższe kółeczka machiny państwowej pozostaną w naszym ręku.

Przytem mamy sojusznika — nie mówiąc o Austrji, która jest naszą — w żydach. Wiadomo, że żydzi idą zawsze ze silniejszym, najlepszy też dowód w przyjaźni żydowskiej, żeśmy najsilniejsi. Dziś berliński sanhedrin ma słowo decydujące wśród wszystkich bez wyjątku żydów.

Obok tego wiemy już dawno, że w Rosji żyje 15 miljonów Rusinów, którzy mogą wszystko zyskać, ale niczego nie mogą stracić. Razem z żydami jest to ludność 20-miljonowa. Rusinów możemy każdej chwili wygrać przeciwko Rosji, Rusini też nie będą z nami targowali się o granice, lecz wezmą z wdzięcznością, to, co im damy. Nam w razie wojny przypadną Wilno, Warszawa, reszta do Morza Czarnego może stanowić państwo ruskie. Rusini są więc wygodniejszym i potężniejszym dla nas sprzymierzeńcem, aniżeli Polacy“.

Tyle polityk niemiecki. Nie potrzeba chyba dodawać, że z owych 15 miljonów Rusinów pomocy Niemcy na razie mieć nie będą żadnej i że sytuacja korzystna dla Niemiec mogłaby być kiedyś wytworzoną tylko przez ginący dziś hakatyzm rosyjski.

Precz ze wstrętną szmatą!

Od niejakiego czasu poczęło we Wiedniu codziennie wychodzić osławione ze swej polakożerczej tendencji czasopismo *Die Zeit*, wydawane i redagowane przez rozmaitych szrajbjingelesów, a zasilane stale artykułami o Galicji przez znanego kalumniatora, dra Iwana Franki. Tam właśnie, gdy to piśmidło było jeszcze tygodniowem, złożył był ten zaprzysięgły wróg i oszczerca polskości swoje jajo kukułcze, w formie bezwstydnego paszkwilu o nieśmiertelnym naszym Adamie, którego odważył się nazwać „poetą zdrady“. I jak w tym wypadku, tak też przez cały ciąg swego istnienia *Die Zeit* wiedeńska była zawsze głównym organem potwarczych napaści na Polaków, czy to ze strony Niemców i żydów wiedeńskich, czy hajdamaków galicyjskich. Duch ten przeszedł w spuściźnie i na redakcję codziennego już pisma, a p. Franko, jako j e d y n y pono referent spraw galicyjskich, pamięta o tem troskliwie, iżby judaszowe srebrniki z kasy tego wydawnictwa odrobić ustawicznem fałszerstwem stosunków i zdarzeń w kraju naszym. Pomimo takiej antipolskiej reputacji, wydawcy tej gazety mają tyle czelności i arogancji, że zasypują kraj nasz agentami i numerami okazowymi i niestety znajdują tutaj łatwowiernych odbiorców. Dotyczy to głównie kawiarń, restauracyj i wogóle l o k a l ó w p u b l i c z n y c h, we Lwowie, Krakowie i na prowincji. Otóż wzywamy z jednej strony właścicieli tych lokalów, z drugiej zaś p u b l i c z n o ś ć polską, aby, że wstrętem i pogardą odrzucała to piśmidło, będące dziś o r g a n e m h a j d a m a c k i m! A pp. kawiarze i restauratorzy powinni raz na zawsze powiedzieć sobie, że już b e z p o w r o t n i e m i n ę ł y t e c z a s y, kiedy publiczność polska ze wspaniałomyślną tolerancją znosiła widok wrogich naszej narodowości czasopism na stołach i ścianach ich lokalów.

Na tej tolerancji ucierpieliśmy już zbyt wiele wszyscy, abyśmy ją dalej stosować mieli w odniesieniu zwłaszcza do przedsiębiorców w kraju, którzy żyją głównie i niemal wyłącznie z polskiej kieszeni. Tyle na dziś pod adresem pp. restauratorów i kawiarzy.

Powstanie w Macedonji.

W macedońskim okręgu powstańczym wre partyzantka dalej. Przyznaje to nawet wychodzący w Küstendil dziennik *Isgrev.* (Jutrzenka) organ wrogich komitetowi i powstaniu socjalistów i zwolenników „wewnętrznej organizacji macedońskiej“. Do pisma tego donoszą z pogranicznej miejscowości Koczarinow: „Na prawym brzegu Strumy odbyły się potyczki między powstańczemi bandami a regularnem wojskiem, wspieranem przez baszybozuków. Wieś Orane spalona doszczętnie, mieszkańcy jej wymordowani, a niewielu tylko udało się uciec do lasu. Wieś Bystrzyca spalona w połowie, wieś Żeleźnica opustoszała. Ogień wybuchł także we wsiach Palesz, Leszko, Pokrownica; ponadto Turcy podpalili wszystkie lasy, aby powstańcy nie mogli nigdzie znaleść schronienia“. Wskutek doniesienia tego pisma, nieprzychylnego powstaniu, poczynają wierzyć w Sofji wieściom alarmującym, jakie w osobnych wydaniach szerzy komitet „Reformy“.

W ostatniem takiem wydaniu piszą: Nie jest absolutnie prawdą, aby powstanie miało być stłumione. Oddziały powstańcze trzymają się dzielnie, a wszyscy przywódcy znajdują się na swych stanowiskach. Tylko rannych powstańców przeniesiono do Bułgarji przez granicę. Powstanie wzmaga się codziennie we wszystkich okolicach Pirin-Dagu. Na czele oddziałów stoi parę tuzinów wypróbowanych wodzów, jak Nikołów, Donero Wojewoda, Sewlerów i w. i. Oddziały powstańcze wzmagają się ustawicznie nowymi posiłkami z wieśniaków. Na obu stronach Strumy odbyły się ataki powstańców na wojska tureckie. Powstańcy rozłożyli się w okolicach Strumy, Stipu, Maleszewu, Koczanu i t. d. a jako podstawę do operacyj mają dwa obozy centralne, jeden na lewym, drugi na prawym brzegu Strumy. Główną komendę prowadzi pozasłużbowy generał Conczew. W ostatnich dniach miały miejsce krwawe walki w wąwozie Kresny. Z obu stron donoszą o wielkich stratach. Większa, kilka godzin trwająca walka, odbyła się dnia 25 października w pobliżu Bańska, w okolicy Rasloggu.

DEPESZE telegraficzne i telefoniczne.

Choroba hr. Gołuchowskiej.

Wiedeń 5 listopada. Stan zdrowia hr. Anny Gołuchowskiej, znajdującej się w sanatorjum Löwa, jest dobry. Z wielu stron płyną zapytania o zdrowie chorej. Pierwsza dowiadywała się arcyksiężna Marja Józefa.

H. K. T.

Poznań 4 listopada. Za obrazę żandarma zasądzono odpowiedzialnego redaktora *Gazety Grudziądzkiej* Piechowskiego na 2 miesiące więzienia. Obrazy dopuścić się miał zasądzony w korespondencji, opisującej przebieg procesji Bożego Ciała w Bobrowie. Prokurator wnosił 3 miesiące i natychmiastowe aresztowanie.

Pałac cesarski w Poznaniu.

Poznań 4 listopada. Potwierdza się wiadomość o budowie pałacu królewskiego w Poznaniu. Cesarz Wilhelm zajmuje się już podobno wyborem miejsca.

Konferencja kolonialna.

Londyn 4 listopada. Dziś ogłoszono tu uchwały powzięte na odbytej niedawno w Londynie konferencji pomiędzy członkami rządu państwowego, a ministrami i przedstawicielami kolonij angielskich.

Rezolucje te dotyczą przyznania ułatwień handlowi między poszczególnemi częściami państwa i kolonjami, uznają za pożądane, aby kolonje przyznała importowi angielskiemu ważne ułatwienia, domagają się odpowiedniego ułożenia taryfy cłowej.

Przeciw pojedynkom.

Wielki Werażdyn 4 listopada. Przybył tu książę Alfons burboński, celem wzięcia udziału w konferencji z tutejszym oddziałem komitetu, prowadzącemu akcję przeciw pojedynkom.

Rozmaitości.

Trzydziestolecie działalności myśliwskiej święcił w końcu zeszłego miesiąca cesarz niemiecki. Podczas powyższego okresu monarcha upolował ogółem 47.443 sztuk dziczyzny. Na pierwszem miejscu stoją naturalnie bażanty, których cesarz ubił 18.891. Bliski temu rekord dotrzymują zające, sztuk 17 881, dalej idzie 2507 dzików, 1627 królików, 1596 kuropatw itd.

Dla bezdomnych. W tych dniach na przedmieściu wiedeńskiem w dzielnicy Brigittenau, oddano na użytek publiczny nowy typ zakładu dobroczynnego dla ubogich rodzin, które znalazły się chwilowo bez dachu nad głową. Dzięki ofiarom prywatnym kilku filantropów, wzniesiono sporą czteropiętrową kamienicę. Na każdem z piątr mieści się 7 izb, z których każda jest tak urządzona, iż może służyć za pomieszkanie dla rodziny. Administracja przytułku, przed udzieleniem gościnności bezdomnej rodzinie, sprawdza, czy rodzina zasługuje pod względem moralnym na pomoc. Mebli i własnych sprzętów, z uwagi na czystość, nie dozwala się wprowadzać do mieszkań: muszą być złożone w specjalnym magazynie przy zakładzie. W zasadzie postanowiono, iż zakład przyjmuje bezdomnych na dwa tygodnie; w wyjątkowych razach pobyt może być przedłużony do miesiąca. Zakład posiada wspólną pralnię, na każdem piętrze oddzielne miejsca do trzepania i czyszczenia rzeczy i na parterze dużą, jasną salę dla dzieci, które bawić się będą pod opieką. — W kuchni administracji urządzono dwa kotły do gotowania zupy, która będzie rozdawana dzieciom. Ogółem znajduje się w zakładzie 38 izb, które mogą pomieścić około 180 osób. Koszta budowy przytułku wyniosły 90.000 kor.

Dział ekonomiczny.

— **Wiedeń** 4 listopada. Stan Banku austro-węgierskiego z dniem 31 bm.: Banknotów w obiegu: 1,642,040.000 (w porównaniu z poprzednim tygodniem więcej o 101,460.000); rezerwa kruszcowa: 1,453,158.000 (więcej o 809.000); portfel wekslowy: 341,534.000 (więcej o 76,817.000), lombard papierów: 45,455.000, więcej o 1,042.000; banknoty wolne od podatków: 205.638.000 mniej o 100,530.000). (Wszystkie cyfry w koronach).

Wiedeń 4 listopada. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na wiosnę od 7·48 do 7·49; żyto na wiosnę od 6·73 do 6·74 kukurydza na listopad od —·— do —·—, na maj-czerwiec od —·— do —·— owies na wiosnę od 6·54 do 6·55; rzepak na styczeń-luty od —·— do —·—, na sierpień-wrzesień od —·— do —·—; olej rzepakowy na styczeń-kwiecień od —·— do —·—. Usposobienie ustalone. Pogoda piękna.

— **Budapeszt** 4 listopada. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogr.). Pszenica na kwiecień od 7·37 do 7·38 żyto na kwiecień od 6·44 do 6·45 owies na kwiecień od 6·28 do 6·29 kukurydza na maj od 5·63 do 5·65; rzepak na sierpień od 11·75 do 11·85 Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna ograniczona. Usposobienie słabe. Pogoda piękna.

Wiedeń 4 listopada. (Giełda południe. godzina 12 m. 45). Marki 116·97. Renta majowa 100·90 Węg. renta koronowa 97·60 Akcje austr. zakł. kred. 671·—, Akcje węg. zakł. kred. 707 Akcje Anglobanku 273·—, Akcje Unionbanku 531·—, Akcje Bankvereinu 450·—, Akcje Länderbanku 390·—, Akcje kolei państw. 700·25 Lombardy 75·—, Akcje kolei Elbetbal 459·— Akcje fabryki broni —·—, Akcje tytoniowe —·— Akcje Alpiny 359·75 Akcje Rima Muranji 470·—, Akcje praskiego Tow. żel. —·—, Losy tureckie 114·75 Ruble 252·75 Usposobienie spokojne.

Berlin 4 listopada. (Giełda poranna) Akcje kredytowe 211·90 Towarz. dyskontowe 188 Usposobienie słabsze.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 4 listopada 1902 r.

HOTEL GEORGE. Hr. St. Szembek z Wygody. K. Rychliński z Warszawy. S. Kotarski z Brzeska. M. Jankowski z Wołynia. L. Grabski z Gniezna. A. Kiciński z Krakowa. L. Wiśniowski z Krakowa. F. Ullmann i F. Paschkis z Czerniowiec. S. Matkowski ze Stryja. E. Ziffer z Czerniowiec.

HOTEL EUROPEJSKI. A. Zaremba Cielecki z Hadyńkowiec. A. Pędracki z Turki. M. Grunwald z Worochty. Dr. Szpunar z Łańcuta. E. Gentilomo z Wiednia. J. Pallo z Bóbrki. Dr. J. Walewski z Nossowa. J. Biederman z Trembowli. J. Wojcicki z Sambora. M. Burzyński z Buczacza. J. Schaller z Londynu. Ch. Winkler z Tryestu. M. Fabry z Czerniowiec.

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

We wtorek 4 listopada, o godz. 7 wieczorem.

TAMTEN

sztuka w 5 aktach Józefa Maskoffa.

Akt I. „W knajpie“. Akt II. „Aresztowanie“. Akt III. „U generała Horna“. Akt IV. „Dziesią pawilon“. Akt V. „Na Sybir“.

O S O B Y:

Generał Horn	p. Chmieliński
Pułkownik Korniłow, urzędnik do szczególnych poruczeń	p. Kamiński
Pułkownik artylerji	p. Jaworski
Porucznik Botkin	p. Węgrzyn
Kornet Nikiforow	p. Roman
Kapitan Juryj Andreicz Agafonow	p. Feldman
Porucznik Strełkow	p. Solski
Kazimierz	p. Kuncewicz
Bogdański	p. Kliszewski
Józef	p. Wysocki
Marjan	p. Stanisławski
Pani Wielborska	pni Otrembowa
Marta Wielborska	pna Jankowska
Anna	pni Bednarzewska
Julja Korbiel	pni Węgrzynowa
Zosia	pna Borzęcka
Marja	pni Solska
Kultiapkin, stary żandarm	p. Kwiatkiewicz
Matałkowska, utrzymująca restaurację	pna Wojnowska

Oficerowi, żandarmi, goście.

Rzecz dzieje się w Warszawie za naszych czasów.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nie odpowiedzialności.

21)

Z życia małego kaprala.

POWIEŚĆ.

Część pierwsza.

„Niech żyje cesarz".

„Postąpiliśmy jak żaki — myślał. — Że ten zacny chłopiec, de Sainte-Croix, tak zrobił, nie dziwnego; lecz ja, to wstyd doprawdy! Iść na wyprawę, żeby ująć przeciwnika i dać się samemu aresztować, to ładnie, nie ma co mówić... I tak, obydwom nam odjęto możność działania: Sainte-Croix w dymisji, a ja osiadłem na mieliźnie. Chodzi o to, żeby teraz z tego wyjść przez jakiś czyn głośny... No, Cezar, co o tem myślisz, mój piesku?"

Cezar siedział z głową opartą na kolanie swego pana. Trawił... Schulmeister, oddany swoim zajęciem, zapomniał dać mu śniadanie; lecz dobre zwierzę powiedziało sobie, że to może taki zwyczaj w Paryżu, albo moda, żeby nie dawać psom jeść i postąpił w ten sposób, iż odwiedził kuchnię hotelową i tam zręcznie bardzo, chociaż nie zupełnie legalnie, zaspokoił apetyt.

I oto z napół przymkniętemi oczami, mordą delikatnie opartą na kolanie swego pana, odczuwał rozkosz zaspokojonego głodu i czekał na przyjazne słowo, a słysząc swoje imię, otworzył całkowicie oczy i utkwił je w twarzy znanej i przyjaźnie pochylonej ku niemu!

Oh! to spojrzenie psa dobrego! W niem cały świat myśli. Najpierw wszystkie te, które my w nie wlewamy; a potem ufność, poświęcenie bezgraniczne, chęć zrozumienia, uwaga na poruszenie ust, rąk...

Drżeniem nosa, poruszaniem ogona, ruchami łapek, dreszczem całej skóry, wilgotnym blaskiem spojrzenia, Cezar wyrażał: „Mówisz do mnie? Czego chcesz? Czy będziemy się bawić? Czy pójdziemy na przechadzkę?"

Schulmeister zrozumiał prawdopodobnie, gdyż odpowiedział jednem słowem:

— Pudel.

W tej chwili dobry kundel stanął na tylnych łapach, wymachiwał przedniemi, następnie z radosnem skowyczeniem pobiegł do walizki swego pana i gwałtownie zaczął ją obwąchiwać.

— Czekaj, czekaj!... Niech się trochę zastanowię.

Cezar powrócił.

— Najpierw, nie jestem pewny, czy pamiętasz jeszcze naukę... No, zobaczmy.

Schulmeister nie podnosząc się z krzesła, nachylił się i rzekł:

— Jesteś Cezar.

Pies poruszył ogonem i przyszedł polizać pana.

— Jesteś pudel.

Pies odszedł warcząc z sierścią najeżoną.

— Dobrze! teraz słuchaj: gorąco, zrobię z ciebie pudla ostrzyżonego do połowy...

Czy Cezar zrozumiał? Poszedł i położył się na chłodnej tafli przed kominkiem, a potem zaczął patrzeć na swojego pana, jak gdyby chciał powiedzieć: „Czy tak?"

— Dzielny jesteś, mój piesku — rzekł Schulmeister. — Ubierajmy się!... Nie, poczekaj trochę.

Zawołał gospodarza.

— Proszę pana — rzekł — zamierzam odbyć małą podróż, lecz pewno powrócę tutaj. Płacę panu zatem co do dzisiejszego dnia jestem winien, lecz zatrzymuję ten pokoj. Oprócz tego, uprzedzam, że oczekuję odwiedzin pewnego obywatela niemłodego, który ma manię, tak jak i ja, że chodzi wszędzie z psem, z pudlem...

Cezar zaczął warczeć.

— ...Spokojnie, Cezar!

Cezar przyszedł i pozwolił gospodarzowi głaskać się po głowie.

— Posiadasz pan bardzo rozumne zwierzę, panie de La Meinau!

— Pan tak uważa?... Otóż mówiłem, iż proszę, aby wpuszczono mego gościa, jak przyjdzie. Nie wyjadę, aż się z nim zobaczę.

— Dobrze, proszę pana; wydam rozporządzenia. Pan nic nie potrzebuje?

— Nic, dziękuję.

Pan i pies zostali sami.

Schulmeister wydobył z szafy całe ubranie, które miało z niego zrobić osobistość szanowną, wydobył także masę różnych drobnych przyborów, które rozłożył nad kominkiem naprzeciw zwierciadła, a które wyglądały jak przybory teatralne, do robienia „twarzy."

Następnie Schulmeister wybrał z walizy z pomiędzy różnych skór jedną i położył ją przed nosem psa.

Poczciwe zwierzę poddało się odrazu znanej sobie operacji przebrania.

Schulmeister włożył na niego skórę z sierścią szaro-czarną lekko fryzowaną, zapiął psu pod brzuchem, wygładziwszy starannie na grzbiecie. Głowa psa weszła także w rozciągliwą tę nakrywkę z dziurami na oczy, z której wyglądała czarna mordka. Uszy krótkie swobodnie ukryły się pod szerokiemi i długiemi dodatkami wiszącemi.

Ubrany w ten sposób do pół ciała, Cezar robił złudzenie pudla do połowy ostrzyżonego na lato.

Nie znać było wcale różnicy barwy na piersiach i udach i — dowód inteligencji lub może instynktu — pies chodził lżej, na końcach łapek z dumną miną.

— Na mnie kolej! — rzekł Schulmeistar, po przypatrzeniu się swojemu dziełu.

Włożył na głowę perukę pudrowaną, poznaczył lekkie zmarszczki na twarzy, pobielił trochę brwi płowe, zakrył muskularną szyję wysokim krawatem, pod którym podbródek zniknął. Przywdział naszykowany kostjum, obuł trzewiki, wziął grubą laskę ze złotą gałką, spłaszczył szeroki pilśniowy kapelusz, przepasany wstążką z klamrą srebrną, co nadawało mu wygląd starego dyplomaty lub duchownego.

Przebrany w ten sposób, uporządkował wszystko w pokoju, pozbierał papiery, wziął pieniądze i zwracając się w końcu do psa, rzekł:

— No, w drogę!

Pies ani drgnął. Patrzył na swego pana. Z pewnością tenże o czemś zapomniał.

— Cóż tam znowu?... Czemu nie wychodzisz?

Pies się nie ruszył.

— Ah! czekasz na program? Masz rację. Pójdź tu — pudel!

Pies w tej chwili zerwał się, wyszedł za drzwi i schodził ze schodów z powagą.

Służba hotelowa, uprzedzona przez gospodarza, przepuściła grzecznie wychodzącego z psem starego pana, mówiąc między sobą:

— To dziwne, doprawdy! nie zauważyliśmy jak ten pan z psem wchodził.

Schulmeister, wydostawszy się na ulicę, szedł drobnym krokiem, z powagą, licującą z jego ubraniem, w stronę ulicy św. Honorjusza.

Zatrzymywał się grzecznie i ustępował z drogi ludziom spieszącym się, gromił swobodne wybryki Cezara, który nie zupełnie jeszcze wszedł w nową skórę, zapominał się i zadawał wesoło z psami pospolitemi lub kręcąc ogonkiem, wpadał do znanych sobie sklepów.

Dotarli w ten sposób przed dom, w którym mieszkał Sainte-Croix. Schulmeister spostrzegł odrazu kilka figur podejrzanych na ulicy: bez wątpienia Fouché kazał urządzić nadzór nad wszystkimi wchodzącymi do domu — a może nie pozwolić, aby kto wchodził, co wreszcie także było prawdopodobnem.

— Da się to widzieć — pomyślał Schulmeister

Przywołał psa.

— Wejdź tam — rzekł psu, wskazując drzwi końcem laski.

Cezar, a raczej pudel, przebiegł w poprzek ulicę i skierował się prosto do drzwi wskazanych.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał żartobliwie agent—pochylając się, kiedy pies miał wchodzić. Na którem piętrze? Pokaż kwit mieszkaniowy! Nie masz przy sobie? Umykaj zatem, biedny piesku. Rozkaz mamy surowy...

Pies cofnął się nieco, podniósł przednią nogę, patrzył w oczy cerberowi, strzegącemu drzwi i warczał, pokazując białe kły z pomiędzy czarnych warg.

Schulmeister zbliżył się.

— Przepuśćcie biednego pieska — rzekł z łagodną stanowczością. — To mój pies.

— To bardzo możebne, proszę pana — odpowiedział agent śmiejąc się naprzód z żartu, jaki miał wypowiedzieć — lecz kto mi powie, żeby panu pozwolić wejść? Nie wiem do kogo pan należy? Czy pan domowy?

— Nie jestem „domowy", przynajmniej w takim sensie jak wy to rozumiecie, przyjacielu; lecz idę do pana Sainte-Croix z polecenia jego ekscelencji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obwieszczenie.

Celem dostawy następujących artykułów żywności na rok 1903 t. j. fasoli, soczewicy, ryżu, powidła, słoniny, smalcu, mąki pszennej, grysiku, pęcaku i krup dla oddziałów załogi KRAKOWA PODGÓRZA, które do składu załogowej menaży należą, odbędzie się rozprawa piśmienna ofertowa, w piątek 14 listopada b. r. o godzinie 9-tej rano w koszarach arcyksięcia Rudolfa (gościniec warszawski).

Oferenci mają dołączyć do oferty świadectwo swej rzetelności i możności dostawy, że posiadają odpowiedni kapitał do objęcia dostawy o którą się ubiegają, datowane w miesiącu październiku lub listopadzie b. r. i to firmy protokołowane wystawione od izby handlowo-przemysłowej, inne od przynależnej władzy politycznej (magistratu miasta Krakowa).

Zapieczętowaną, stemplem na 1 koronę opatrzoną i według przepisanego formularza wystawioną ofertę, do której z każdego gatunku dwie zapieczętowane próbki dołączone być mają, należy we wyżej wymienionym czasie o godzinie 9 tej z rana, w lokalu rozprawy ofertowej komisji wręczyć. (Oferty nie odpowiadające przepisanemu formularzowi nie będą bezwarunkowo uwzględnione).

Każdy oferent ma wraz ze swą ofertą, wadjum w wysokości 5 prc według oferowanej ceny rocznego dochodu, gotówką lub w papierach wartościowych (wraz z dokumentami złożenia i odebrania) przedłożyć

W końcu nadmienia się wyraźnie, że komisja dostawy zastrzega sobie bezwarunkowo wybór tego, lub tych oferentów, którzy się najodpowiedniejszymi wydają bez względu na oferowaną cenę. Producenci i engros-liweranci mają pierwszeństwo. Mniejsi dostawcy są bezwarunkowo wykluczeni.

Bliższe szczegóły, formularze do ofert i żądane informacje będą udzielane w kancelarji prowiantury 20 pułku piechoty w koszarach arcyksięcia Rudolfa ulica Warszawska I. piętro codziennie od godziny 10-tej do 11-tej przed południem.

W Krakowie, dnia 30 października 1902.

1190 **Załogowa komisja dostawy żywności Kraków-Podgórze.**

Ogłoszenie konkursu.

Kuratorja fundacji Stanisława hr. Skarbka ogłasza konkurs

na posadę Dyrektora Zakładu sierot i ubogich w Drohowyżu

Do posady tej jest przywiązana płaca 4000 koron rocznie, wolne pomieszkanie w Zakładzie i opał. Kandydaci wybitnie ukwalifikowani mogą uzyskać wynagrodzenie wyższe nad płacę etatem normowaną. Dyrektor działający pod zwierzchnicm kierownictwem i kontrolą kuratora i Rady administracyjnej, kieruje całym Zakładem, tak pod względem wychowawczym jak i administracyjnym; w pierwszym jednak rzędzie i bezpośrednio należy do niego kierownictwo wychowawcze i naukowe oddziału sierot.

Bliższe szczegóły co do zakresu działania, obowiązków i prac, tudzież odpowiedzialności Dyrektora zawiera instrukcja. W podaniach, które najpóźniej do dnia 30 listopada b. r. do Kuratorji wnoszone być mają, należy przedstawić cały dotychczasowy bieg życia kandydata i wszelkie świadectwa.

Pierwszeństwo mają kandydaci, którzy się wykażą kwalifikacją pedagogiczną, tudzież ile możności odbytą praktykę w kierowaniu podobnym Zakładem.

Z kuratorji Fundacji hr. Stanisława Skarbka

We Lwowie 29 października 1902. 1191

Ruch pociągów kolejowych

obowiązujący z dniem 1-go października 1902 roku. — (Czas środkowo-europejski).

Do Lwowa z:

(na dworzec główny)

Pociąg pośp. przych.	Pociąg osob. o godz.	Do Lwowa z:
12·15	—	Ickan, (Jass, Bukaresztu, Konstantynopola), Delatyna (od 1/10 do 30/4), Zaleszczyk, Wyżnicy, Nowosielicy, Berhomethu, Czudina, Serethu, Radowiec, Valeputny i Suczawy
2·31	—	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Warszawy, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Wieliczki, Orłowa, N. Sącza, Jasła, Chabówki, Zakopanego
—	3·35	Tarnopola, Borek wielkich, Grzymałowa
—	6·10	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Warszawy, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Zakopanego p. Przemyśl, Wieliczki, Rymanowa, Sanoka, Chyrowa
—	6·30	Ickan, Czortkowa, Kałusza, Brodiny, Putny, Suczawy
—	7.45	Janowa
—	8·00	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Brodów
—	8·10	Ławocznego, (Pesztu), Chyrowa, Borysławia, Kałusza
—	8·15	Rawy ruskiej, Sokala
—	8·50	Krakowa (Berlina Wrocławia, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Oświęcima, Stróża, Mezo-Laborcz (Pesztu)
—	10·25	Rzeszowa, Lubaczowa
—	11·55	Stanisławowa, Potutor, Körösmező
—	1·10	Ławocznego, Kałusza, Chyrowa, Borysławia
—	1·23	Janowa
1·35	—	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Jasła, Tarnobrzegu, Rymanowa, Iwonicza, Sanoka
1·45	—	Ickan, (Jass, Bukaresztu), Czortkowa, Kałusza, Zaleszczyk, Wyżnicy, Serethu, Suczawy
2·35	—	Podwołoczysk (Odessy, Kijowa), Brodów, Grzymałowa, Husiatyna, Kopyczyniec
—	4·40	Stryja, Chyrowa, Borysławia
—	5·35	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Grzymałowa, Potutor, Zaleszczyk, Husiatyna, Iwania pustego, Skały, Kopyczyniec
—	5·40	Ickan, Żydaczowa, Nowosielicy, Berhomethu, Czudina, Brodiny
—	5·50	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Oświęcima, Wieliczki, Orłowa, Mielca via Dembica, Sambora, Chyrowa
—	6·50	Bełzca, Sokala, Lubaczowa, Rawy ruskiej
8·40	—	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Wiednia, Karlsbadu, Pragi), Jasła, Lubaczowa, Sanoka, Rymanowa, Iwonicza
—	9·20	Ickan, (Bukaresztu), Husiatyna, Körösmező, Potutor, Nowosielicy, Valeputny, Suczawy
—	9·50	Krakowa, (Berlina, Wrocławia, Wiednia, Warszawy), Oświęcima, Jasła, Lubaczowa, Tarnobrzegu, Iwonicza, Rymanowa, Sanoka
—	10·20	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego
—	10·50	Ławocznego, (Pesztu), Chyrowa, Kałusza, Borysławia

(na dworzec „Podzamcze")

Pociąg pośp. przych.	Pociąg osob. o godz.	Do Lwowa z:
—	3·14	Tarnopola, Borek wielkich, Grzymałowa,
—	7·40	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Brodów
2·31	—	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Brodów, Grzymałowa, Husiatyna, Kopyczyniec
—	5·11	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Kopyczyniec, Zaleszczyk, Potutor, Iwania pustego, Skały, Husiatyna, Brodów
—	10·02	Podwołoczysk, (Odessy, Kijowa), Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Potutor, Iwania pustego, Skały, Husiatyna

Ze Lwowa do:

(z dworca głównego)

Pociągi pośp. odchodzą	Pociągi osob. o godz.	Ze Lwowa do:
12·45	—	Krakowa, (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Pragi, Karlsbadu), Rozwadowa, Jasła, Chabówki, Zakopanego p. Rzeszów, Orłowa
2·51	—	Ickan, (Jass, Bukaresztu, Constancy), Potutor, Czortkowa, Körösmező, Słob. rung., Zaleszczyk, Nowosielicy, Serethu, Borodiny, Putny, Valeputny, Suczawy
—	4·15	Krakowa. (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Pragi, Karlsbadu) Chyrowa, Sambora, Jasła, Stróż, Mielca, Orłowa, Wieliczki, Oświęcima
—	6·25	Ickan, (Jass, Bukaresztu), Żydaczowa, Potutor, Körösmező, Nowosielicy, Brodiny, Putny, Valeputny, Suczawy
—	6·30	Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna
—	6·34	Ławocznego, (Pesztu), Drohobycza, Borysławia
8·30	—	Krakowa, (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Pragi, Karlsbadu), Lubaczowa, Sambora, Chyrowa, Sanoka, Rymanowa, Iwonicza, Orłowa
—	8·40	Krakowa, (Wiednia, Warszawy, Pragi, Karlsbadu), Sanoka, Rymanowa, Iwonicza, Tarnobrzega, Stróż, Jasła
—	9.00	Ławocznego, Chyrowa, Borysławia Kałusza
—	9·15	Janowa
—	9·50	Bełzca, Sokala, Lubaczowa
—	10·30	Czerniowiec, Potutor, Nowosielicy
—	10·40	Tarnopola, Potutor
1·55	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Husiatyna, Skały, Iwania pustego, Grzymałowa
2·40	—	Ickan, Potutor, Kałusza, Czortkowa, Zaleszczyk, Wyżnicy, Körösmező
2·55	—	Krakowa, (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Pragi, Karlsbadu), Jasła, Chabówki, Zakopanego, Wieliczki, N. Sącza, Lubaczowa
—	3·05	Stryja, Chyrowa, Borysławia
—	3·30	Rzeszowa, Chyrowa, Lubaczowa
—	6·10	Stanisławowa, Żydaczowa
—	6·20	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy),
—	6·30	Janowa
—	6·35	Ławocznego, (Pesztu), Chyrowa, Borysławia, Kałusza
—	7·10	Rawy ruskiej, Sokala
—	9·00	Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy), Brodów
—	10·30	Ickan, Czortkowa, Nowosielicy, Berhometu, Seretu, Brodiny, Suczawy
—	11·00	Krakowa, (Wiednia, Wrocławia, Warszawy, Pragi, Karlsbadu), Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Tarnobrzegu, Orłowa, Wieliczki, Chabówki, Zakopanego
—	11·10	Podwołoczysk, Kopyczyniec, Iwania pustego, Skały, Husiatyna, Zaleszczyk, Grzymałowa

(z dworca „Podzamcze")

Pociągi pośp. odchodzą	Pociągi osob. o godz.	Ze Lwowa do:
—	6·43	Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna
—	10·57	Tarnopola, Potutor
2·08	—	Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Husiatyna, Skały, Iwania pustego, Grzymałowa
—	9·20	Podwołoczysk, (Kijowa, Odessy) i Brodów
—	11·32	Podwołoczysk, Kopyczyniec, Iwania pustego, Skały, Husiatyna, Zaleszczyk, Grzymałowa

Uwaga. Pora nocna jest oznaczoną ramkami — Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydają bilety jazdy: Zwykłe bilety: agencja dzienników J. St. Sokołowskiego w pasażu Hausmana l. 9 od 7-mej rano do 8-mej godziny wieczorem, zwykłe zaś i wszelkiego innego rodzaju bilety, taryfy, ilustrowane przewodniki, rozkłady jazdy i t. p. biuro informacyjne kolei państwowych (ul. Krasickich l. 5, w podwórzu, schody II. drzwi nr. 52) w godzinach urzędowych od godz. 8—3, w święta od godz. 9—12.

Odpowiedzialny za redakcję: Adam Krajewski. Właściciele i wydawcy: Dr. Ostaszewski-Barański, Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.